

Na szczytach świata.

Część 2.

Rozmowa z Anną Borecką, samotną alpinistką, autostopem przemierzającą kolejne kontynenty, realizującą autorski projekt „200 szczytów świata”.



Wspinaczka „na żywca” w lodospadach Słowackiego Raju, fot. Stanisław Proszak.

Joanna Sokołowska-Gwizdka:

Jakie kraje, które do tej pory Pani przemierzyła, najbardziej Pani zapamiętała?

Anna Borecka:

Te, w których nieźle dostałam w kość, a więc Iran i Chiny. Pierwszego dnia w Teheranie zostałam okradziona przez taksówkarza. Potem trafiłam na demonstracje uliczne. Musiałam

przejsć wśród skandującego tłumu i uzbrojonego kordonu policji, żeby dostać się do akademika, w którym mieszkałam. Jednak bardziej dało mi się we znaki codzienne przemierzanie wielomilionowej stolicy, żeby wyrobić trzy wizy do krajów poradzieckich. W pewnym momencie byłam w sytuacji patowej, bo utknęłam tam na dobre. Zaczęłam więc załatwiać pozwolenia od ostatniego w kolejności państwa, czyli Tadżykistanu. A po wizę do sąsiedniego Turkmenistanu musiałam jechać aż pięćset kilometrów dalej, zmieniając wcześniej zaplanowaną trasę. W międzyczasie weszłam na **Demawand** (5610 m), najwyższy szczyt Iranu, więc moje wysiłki zostały nagrodzone.

W Zachodnich Chinach był stan wojenny, na ulicach mnóstwo uzbrojonej policji i wojska oraz czystki w domach Ujgurów. A dogadać się tam nie można „za Chiny Ludowe”. Była też blokada łączności ze światem, więc wybierałam niewielkie kwoty z bankomatu, żeby córce dać znać, że żyję.



Na Demawand (5610 m n.p.m.) z grupą Irańczyków, fot. z archiwum Anny Boreckiej.

Czy zdarzyły się Pani naprawdę niebezpieczne sytuacje?

Zawsze się jakieś zdarzają. W Tadżykistanie zabłądziłam w górach Pamiru i weszłam na teren bazy wojskowej, za co oficerowie chcieli mnie aresztować i zamknąć na pół roku w więzieniu. Szybko wyjęłam mapę i pokazałam skąd przyjechałam autostopem, żeby wspinać się sama w górach. Nigdy wcześniej tak dobrze nie mówiłam po rosyjsku. (Śmiech) Tym ich zaskoczyłam, więc nawet mnie nakarmili i odwieźli do najbliższej wioski.

Na Karakorum Highway zatrzymali mnie chińscy policjanci i zabronili dalej podróżować autostopem. A gdy się im sprzeciwiłam, to jeden mnie szarpał i popychał, a drugi podniósł do góry karabin. Uspokoiliam się, pokazałam wizę w paszporcie i... pojechałam dalej autostopem.

Jadąc „na stopa” przez kazachski step tylko cudem uniknęłam gwałtu, ale opowiadać o tym nie będę. Kto zechce, ten przeczyta w drugim tomie „Alpinistki na autostopie”. W Kosowie byłam w górach sama, gdy ktoś całkiem blisko strzelał z kałasznikowa. Słyszałam głosy kilku mężczyzn, ale ich nie widziałam, bo na szczęście była mgła. Nagle jeden z nich tak przeraźliwie zaczął krzyczeć, że mocno skuliłam się i po cichutku, biegnąc koleinami, opuściłam zagrożony teren.

W Alpach, Pamirze i Karakorum skakałam sama przez szczeliny lodowcowe na wysokości 4000-6000 metrów i parę razy do nich wpadłam, ale na szczęście niezbyt głęboko. Wbiłam więc czekan przed siebie, wyciągnęłam się na nim i odczołgałam, żeby wreszcie stanąć na nogach. W różnych górach miałam kilka wypadków i kontuzji z poważnym uszkodzeniem kolan, naderwaniem mięśni i więzadeł w obu nogach. A na Bałkanach, gdy zwichnęłam prawą dłoń i momentalnie spuchła mi jak bania, to martwiłam się, jak będę łapać „stopa”. Chociaż najpierw musiałam wrócić sama z gór w czasie burzy, zrobić ręczne pranie, bo wszystko było ubłocone, i spakować plecak. To była

męka, każdy ruch sprawiał mi ból, ale przecież sama wybrałam samotny styl podróżowania. Jednak nigdy nie przerwałam wyjazdu, a kontuzje leczyłam dopiero po powrocie do domu, nawet przez pół roku.

Poprzedniego lata, na Cabo Verde, wspinałam się w skale i wyrwałam z niej wielki kamień. On uderzył mnie w nogę, na szczęście nie odpadłam od ściany, ale do dzisiaj mam wgłębienie w udzie. A potem potrącił mnie taksówkarz, bo nie zauważył mnie, gdy cofał auto. Bardzo bolał mnie kręgosłup, ale musiałam założyć plecak i iść dalej, bo przecież nie mogłam się bić ze zbiegowiskiem Afrykańczyków. Jednak byłam w takich nerwach, że kierowca dostał ode mnie parę razy w łeb. To tylko kilka drastycznych sytuacji, jakie przeżyłam, ale zdecydowanie wolę pamiętać te pozytywne.



Autostopem na Karakorum Highway, fot. Anna Borecka.

Czy idąc samotnie w góry zdarzyły się pani jakieś zaskakujące spotkania, nieprzewidywalne sytuacje, z którymi musiała się Pani zmierzyć?

O niektórych z nich już opowiedziałam, więc dla odmiany podam zabawny epizod. W Andorze zesłam z gór wieczorem, chociaż rozsądniej byłoby zabiwakować gdzieś w lesie. Długo nie mogłam złapać stopa. W końcu zatrzymał się jakiś brodac, ale mówił tylko po hiszpańsku. Skleciłam jakieś zdanie, że zdobywam różne szczyty w Europie, a on uśmiechnął się i zaprosił mnie do auta. I

tym sposobem trafiłam do Asturii, na północy Hiszpanii, w góry Picos de Europa, o których istnieniu wcześniej nie wiedziałam. Cóż było robić, poszłam w góry i tam. Okazało się, że ten brodac, wyglądający jak święty Mikołaj, był emerytem i mieszkał w kamperze. Od czterech lat żył w drodze, zwiedzał kraje Europy Zachodniej, chociaż nie znał języków obcych. Do domu wracał raz na trzy miesiące, żeby zrobić badania, bo od lat poważnie chorował. A potem znów ruszał w świat, mówiąc że te podróże – to dla niego najlepsze lekarstwo, a widoki z okna samochodu – to najpiękniejsza telewizja. Nie chciał ujawniać swojej tożsamości, więc nazwałam go Incognito.

Hm, jeśli chodzi o zaskakujące spotkanie, to przypomniała mi się pewna historia. Na Islandii poszłam sama na najwyższy szczyt **Hvannadalshnúkur** (2110 m). Góra jest niewielka, ale znajduje się na zdradliwym, dużym lodowcu Vatnajökull. Tam pogoda zmienia się co chwilę i często panują arktyczne warunki. Szczeliny przykryte są warstwą śniegu i łatwo zgubić się w zadymce. Nikt więc nie chodzi tam sam, bez liny i bez GPS-u... poza mną.

Za moim drugim podejściem w stronę szczytu nagle zaczęło wiać lodowym powietrzem, kryształki śniegu siekły mnie po twarzy, a potem pojawiła się gęsta mgła, widoczność spadła do zera i zrobiło się czarne niebo. Przestraszyłam się, że mam problemy ze wzrokiem, ale sytuacja ciemności w ciągu dnia powtórzyła się.

Nic nie widziałam, nawet śladów butów na śniegu, które wcześniej mnie prowadziły. Nagle usłyszałam dziwny męski głos, przytłumiony i matowy, niczym wydobywający się spod ziemi: „Zawracaj!”. Stałam jak wryta, nasłuchując. Zrobiłam dwa kroki i znów usłyszałam: „Zawracaj!”. Zatrzymałam się, zdjęłam okulary, nikogo wokół nie było. Jednak nie musiałam się rozglądać, bo czułam, że ten głos nie pochodzi z zewnątrz, ani z mojego wnętrza. On był takim głosem zza grobu. Siódmym zmysłem, który nieraz już mnie ostrzegł, zobaczyłam mężczyznę około czterdziestki, z szarymi, kręconymi, ale krótkimi włosami. Był niewysoki, średniej budowy ciała i miał na sobie gruby, szary sweter z wełny, z długim jasnym włosiem. Do dzisiaj pamiętam tę postać i ten głos, jakiego nigdy wcześniej nie słyszałam. Zastanowiło mnie to, zaczęłam się kręcić w miejscu, szukając śladów moich butów na śniegu, żeby zawrócić. Jednak zmiotł je wiatr. Na szczęście po kilkunastu minutach trochę się przejaśniło, zobaczyłam szczelinę przykrytą śniegiem, w miejscu gdzie chciałam pójść. Moja droga powinna iść prosto, ale posłuchałam głosu intuicji i zawróciłam.



Jökulsárlón – atrakcja turystyczna na autostopie w Islandii, fot. Anna Borecka.

Okrażyłam autostopem całą Islandię, zwiedzając kilka pięknych miejsc i po tygodniu wróciłam na **Hvannadalshnúkur**. Na szczyt weszłam więc dopiero za trzecim razem, ale i wówczas miałam dziwne zdarzenie. Było mgliście, dosyć ciepło, więc warunki były dużo lepsze. Zatrzymałam się na lodowcu, na łyk herbaty z termosu i usłyszałam za sobą wyraźny, tubalny głos: „Don’t go there!” (Nie idź tam!). Popatrzyłam zdziwiona wokół, lecz nikogo nie dojrzałam. Po chwili ten sam głos powtórzył się z przodu, a tam też nikogo nie było. Poza tym, nie mogło być, bo to był głos mojego przewodnika z Araratu, z 2008 roku. Głos Kurda, mówiącego słabo po angielsku i bez akcentu, w rytmie „ta ta ta”. „Don’t go there!”. Trochę mnie to zdziwiło, a trochę

rozśmieszyło. Tym razem nie posłuchałam, poszłam dalej, przeskoczyłam przez kilka szczelin, a przed samą kopułą szczytową wpadłam prawą nogą do szczeliny aż po samo udo. Szybko wyciągnęłam się na czekanie i odetchnęłam z ulgą. W nagrodę za waleczność zrobiłam kilka zdjęć z czubka góry, bo właśnie na chwilę przetańczyły się mgły.

Reasumując, pierwszy głos ostrzegawczy mógł pochodzić z tak zwanej pamięci zbiorowej. Tak stwierdził mój znajomy już w Polsce, przyprawiając mnie tym o gęsią skórę. Natomiast nie wiem, jakim cudem przemówił do mnie kurdyjski przewodnik, który chyba nawet nie wie, gdzie jest Islandia. Chłopak miał tylko dwie klasy szkoły podstawowej. Najpierw pasł owce na stokach Araratu, a gdy skończył dwadzieścia lat, to pasał tam turystów i alpinistów. (Śmiech) Tak, człowiek nigdy nie jest sam, nawet wtedy, gdy jest o tym przekonany. Czasami zdarzają mu się w górach bliskie spotkania trzeciego, a nawet czwartego stopnia. (Uśmiech)

Napisała pani m.in. książkę „Alpinistka na autostopie”. Czy podróżowanie autostopem, to większa szansa na poznanie ludzi, ich codziennego życia, zwyczajów, marzeń?

Tak, oczywiście, bo obcy ludzie zapraszają mnie do swoich domów. Rozmawiamy o ich poglądach na świat, codziennych troskach, ale rzadko mówią o swoich wielkich marzeniach. Oni

zazwyczaj żyją tu i teraz. Ja mam okazję poznać ich codzienność, a oni cieszą się z odwiedzin niespodziewanego gościa. Piszę o tym w obu tomach „Alpinistki na autostopie”, przedstawiając ludzi z Europy Wschodniej i połowy Azji. Dzięki licznym rozmowom zdobywam wiedzę o różnych krajach i ich mieszkańcach. Mam też możliwość dotarcia do miejsc, których nie znają turyści, np. mogłam przenocować w kirgiskiej jurcie i poznać codzienne życie w górach, wielodzietnej muzułmańskiej rodziny.



Powrót na Pamir Highway po noclegu u gościnnych Kirgizów, fot. Anna Borecka.

A jeśli chodzi o autostop, to mam okazję obserwować różne zachowania kierowców wobec kobiety-autostopowiczki. Polacy, Czesi i Słowacy lubią ponarzekać na swój los, ale rodacy poczęstują gołąbkami lub bigosem ze słoika. Szwajcarom wystarczy informacja skąd jestem. Islandczycy zgarną mnie z drogi w najgorszą zawieruchę. Finowie mają gest – z trenerem golfa jechałam sportowym BMW o wartości 200 000 euro. Z sympatycznym fińskim małżeństwem podróżowałam przez dwa dni aż do ich domu, gdzie zaprosili mnie na wykwintną kolację i nocleg. Mieszkańcy Bałkanów widzą w Polakach kamratów, więc z każdym kierowcą trzeba wypić w barze przynajmniej jedną filiżankę kawy. Austriacy traktują mnie jak powietrze, ale Austriaczki zawsze zawiozą mnie do centrum handlowego, chociaż tam nie jest mi po drodze. Włosi i Hiszpanie nie zabierają autostopowiczów, ale jak któryś się zatrzyma, to już oferuje długą trasę. Podróżując z Francuzem, Turkiem lub Chińczykiem mogę czasami sięść za kierownicą osobówki lub pick-upa. A na Pamir Highway poprowadziłam ciężarówkę pewnego Kirgiza. Wtedy wjechałam na **Ak Baital** (4655 m), najwyższą przełęcz na tej drodze. Z mieszkańcami Azorów zwiedziłam na stopa wyspę Pico, a na Cabo Verde dotarłam autostopem do zamieszkałej kaldery, chociaż tam ponoć nikt nie wozi ludzi za darmo.

Mówi Pani, że na całym świecie żyją ludzie tacy sami jak my. Pod jakim względem są tacy sami?

Dotychczas odwiedziłam 63 państwa na pięciu kontynentach i spotkałam ludzi z wielu innych krajów. Śmiem więc twierdzić, że wszędzie ludzie są do nas podobni, bo mają zbliżone problemy i marzenia, a różnią się miejscem urodzenia. To miejsce bardzo determinuje ich życie, lecz w gruncie rzeczy, oni są tacy sami jak my. Człowiek jest z natury dobry, bo taki przychodzi na świat, czysty, niewinny i ufny. Niestety, później się socjalizuje. Jednak każdy z nas dąży do tego samego, żeby zapewnić byt sobie i rodzinie, żeby żyło się bezpiecznie i wygodnie, żeby radzić sobie z problemami, wyznaczać kolejne cele i w miarę możliwości realizować swoje marzenia. Przekonałam się o tym na autostopie, w podgórskich wioskach, w różnych miastach. Niektórzy ludzie byli początkowo nieufni wobec mnie albo coś kombinowali. Jednak jak zaczęłam z nimi rozmawiać i przekonali się, że jestem normalnym człowiekiem, to stawali się życzliwi i pomocni, albo zostawiali mnie w spokoju. To daje mi wiarę w człowieka. Każdy z nas ma jakieś zalety i wady, i tworzy różne relacje z poznanymi ludźmi, ale w większości wszyscy jesteśmy normalnymi, pozytywnymi osobami. A ci, emanujący negatywną energią, zazwyczaj mają problemy, z którymi sami sobie nie radzą. Dlatego trzeba im pomóc, jeśli czujemy się na siłach, albo omijać ich długim łukiem. W czasie podróży programuję się pozytywnie, więc zazwyczaj spotykam ludzi, z którymi coś mnie łączy, chociażby zwyczajna, serdeczna rozmowa.



Kolacja w tadżyckiej wiosce, ale u Kirgizów, fot. z archiwum Anny Boreckiej.

Powiedziała Pani kiedyś, że skacząc przez szczeliny w Pamirze poznała Pani swoją rodzinę w Kanadzie? Jak do tego doszło?

To oczywiście taki skrót myślowy, ale podoba mi się wizja wielkiego skoku, przez dwa kontynenty i jeden ocean. A historia jest niezwykła. W 2009 roku chciałam wejść na **Pik Avicenny** (7134 m) w Pamirze. Na lodowcu, około 5000 m n.p.m., trafiłam na takie szczeliny, których nie mogłam przeskoczyć. Jednak, sporo ryzykując, pokonałam te zięjące czeluści i dotarłam do

następnego obozu, za rosyjskim alpinistą. Niestety, z powodu trzydniowego huraganu i odczuwalnej temperatury, około -50 stopni Celsjusza, zrezygnowałam z ataku szczytowego. Kilku rosyjskim śmiałkom i tak nie udało się zdobyć siedmiotysięcznika, a jednemu z nich amputowano później kilka palców u nóg. Wycofując się z **Piku Rozdzielenia** (6148 m) pomagałam spakować plecak Polakowi, który miał poodmrażane palce u rąk. Potem zaprosił mnie na „Złot Łojantów z lat 70-tych”. W schronisku „Morskie Oko” poznałam żywe legendy polskiego taternictwa, jak o sobie mówili. Ze zdziwieniem zauważyłam, że są to dziarscy ludzie z poczuciem humoru, wywijający na parkiecie w tanecznym rytmie. Tam też poznałam innego „łojanta”, który zaprosił mnie do Kanady w 2014 roku. Wtedy byłam poważnie chora, więc to zaproszenie potraktowałam jak zbawienie. Żeby wyjść z chorób, musiałam znaleźć konkretny cel, a w Kanadzie nigdy wcześniej nie byłam. Napisałam więc wiadomość na fejsbuku do moich trzech kuzynów, urodzonych w kraju klonowego liścia, że będę w ich okolicy, więc mogę wpaść na kawę. Pierwszy odpisał mi Joe, że w takim razie zaprasza mnie na wesele swojego syna. Właśnie w tym czasie, Adam weźmie ślub z Amandą, piękną Hinduską. Wtedy będę miała okazję poznać całą rodzinę. No to poleciałam! Umówiłam się też na spotkanie ze znajomymi Polakami z Ottawy, których poznałam w drodze na **Aconcagua** (6960 m) w 2003 r. Reasumując, stojąc przed wielką szczeliną w Pamirze, nie wycofałam się, lecz przełamałam własny strach i przeskoczyłam

na drugą stronę. Dzięki temu poznałam polskich „łojantów”, którzy zaprowadzili mnie aż do rodziny w Kanadzie.



Na lodowcu w Pamirze, około 4500 m n.p.m., fot. Anna Borecka.

Czego nauczyły Panią góry i podróże?

Nauczyłam się pokory wobec gór, małych i dużych, oraz radzenia sobie w różnych sytuacjach. Nauczyłam się też szacunku dla ludzi odmiennych kulturowo, umiejętności rozmowy prawie z każdym człowiekiem, przełamywania własnych barier,

odkrywania piękna świata w drobnych rzeczach. Nazywam to prostotą chleba. Czasami uśmiech lub pozdrowienie przez nieznaną osobę, w obcym kraju, znaczy więcej, niż spotkanie z dużą grupą znajomych. Nauczyłam się, że świat jest piękny, a ludzie są dobrzy i bardzo do nas podobni. Dla mnie nie ma znaczenia, co ktoś posiada, lecz jakim jest człowiekiem. W czasie swoich wypraw poznaję ubogich, lecz pięknych ludzi, którzy mają w sobie radość i spokój. I tego staram się od nich nauczyć, chociaż z różnym skutkiem.

Czego oczekuje Pani od życia?

Zdrowia i szczęścia dla moich bliskich i znajomych. Chciałabym też, żeby nam wszystkim żyło się lepiej i ciekawiej. Dla siebie chcę realizacji projektu „200 Szczytów Świata” oraz posiadania „m&m’s-ów”. Nie chodzi tu o kolorowe czekoladki w kształcie kulek, ale o „man&money”. Potrzebuję życzliwych ludzi na całym świecie, którzy pomogą mi osiągnąć górskie cele. Ja w zamian będę o nich pisać w moich książkach i opowiadać na prezentacjach. Przydałoby się też zarobić trochę pieniędzy na moich pasjach, żeby nie tułać się autostopem po świecie i nie nocować w klaustrofobicznym namiocie, gdzieś na odludziu, lecz spać w łóżku, w jakimś hostelu, albo jeszcze lepiej w jeepie lub kamperze. Wtedy szybciej mogłabym realizować projekt i zabrać w podróż chętne osoby. Mój górski projekt to już nie pasja, lecz imperatyw! To cel zawodowy na najbliższe dziesięć lat albo do

wyczerpania zapasów państw i gór. A potem to już będę pisać same bestsellery. (Śmiech)

Pierwsza część wywiadu:

<https://www.cultureave.com/na-szczytach-swiata-czesc-1/>

Książki Anny Boreckiej:

„Alpinizm – życie na haju”, książka wydana nakładem autora, Wrocław 2006;

„Alpinistka na autostopie. Tom 1. Przez Karpaty na Ararat”, Wydawnictwo Bernardinum, Pelplin 2015;

„Alpinistka na autostopie. Tom 2. Z Polski do Chin”, Wydawnictwo Bernardinum, Pelplin 2016.

„Śpiew lodowca”, książka w przygotowaniu, planowane wydanie w 2019 roku.

Na szczytach świata.

Część 1.

Rozmowa z Anną Borecką, samotną alpinistką, autostopem przemierzającą kolejne kontynenty.



Plakat do autorskiego projektu, fot. i oprac. Anna Borecka.

Joanna Sokołowska-Gwizdka:

Jest Pani autorką projektu „200 szczytów świata”. Do tej pory zdobyła już pani 50 gór. Na czym polega ten projekt?

Anna Borecka:

Moim celem jest zdobycie najwyższych szczytów we wszystkich państwach na świecie. Jest to pionierski projekt, bo jeszcze nikt tego nie dokonał. Jednak tych gór jest trochę więcej, niż

dwieście. W Kolumbii są dwie wzniosłości o podobnej wysokości, Cristóbal Colón i Simón Bolívar (5775 m). Nie wiadomo, która z nich jest trochę wyższa, więc trzeba wejść na obie. Natomiast w niektórych państwach afrykańskich są nawet trzy wierzchołki do osiągnięcia, bo nie ma dokładnych pomiarów, a różne plemiona uważają, że to na ich terenie jest najwyższy pik. Ja zdobyłam 50 szczytów, w większości podróżując autostopem w pojedynkę. Projekt realizuję od pięciu lat i w tym czasie weszłam na 31 najwyższych gór. Jednak niektóre z nich zdobyłam zespołowo i w różnych latach. W sumie mam w swojej kolekcji **Ararat** (5137 m), **Demawand** (5610 m), **Elbrus** (5642 m), **Aconcagua** (6960 m) i wszystkie najwyższe szczyty lub punkty w europejskich państwach, poza Białorusią. Ostatnio dołączyły do nich **Dżabal Tubkal** (4167 m) w Maroku czy **Pico do Fogo** (2829 m) na Cabo Verde. Z jednej strony to dużo, a z drugiej, to dopiero ćwierć projektu. Jednak jestem optymistką. Skoro pół roku temu porzuciłam pracę w pewnej firmie, żeby zawodowo realizować moje górskie marzenia, i zajmuję się teraz promocją projektu, to wkrótce pojawi się ktoś, kto do mnie dołączy. A razem możemy zrobić więcej. Dzięki moim publikacjom i prezentacjom mam już w Polsce i innych krajach zwolenników, którzy swoją popularną „Koronę Europy” przekształcają w „Koronę Globu”. Cieszy mnie to, że inspiruję innych do poznawania świata i realizacji marzeń na wysokim poziomie. (Śmiech)

Jednak większość entuzjastów mojej idei działa standardowo.

Zazwyczaj ludzie organizują szybkie i drogie wyjazdy na pojedyncze góry. Ja podróżuję tanio, ale wolno, bo autostopem, i przez kilka tygodni zdobywam kilka szczytów w sąsiadujących państwach. Kiedyś realizacja takiego globalnego projektu była pobożnym życzeniem, a teraz to kwestia doświadczenia, determinacji i finansów. Ja w dwóch pierwszych dziedzinach jestem dobra, ale w trzeciej, to muszę się jeszcze sporo nauczyć. Dotychczas wiele rzeczy robiłam wolontaryjnie lub za niewielką opłatą: prezentacje, artykuły, książki, a także pomoc innym. Teraz marzy mi się długa wyprawa na 3, 6 lub 12 miesięcy, żeby realizować trzeci etap projektu, czyli **32 Piki Ameryki**. Teoretycznie jestem już przygotowana, fizycznie chyba też, bo trenuję po półtorej godziny dziennie. Muszę tylko zrobić jakiś wielki skok, żeby znaleźć się po drugiej stronie Atlantyku. A potem, w miarę szybko i bezpiecznie zdobywać kolejne wulkany, wzgórza schowane w dżungli lub wspinać się na zacne sześćtysięczniki. Na niektóre z nich potrzebuję partnera wspinaczkowego, bo w pojedynkę to strach. Jestem więc na kolejnym życiowym zakręcie, ale oczami wyobraźni widzę tylko górską drogę w stronę szczytu. Ktoś więc musi mi pomóc, bo człowiek nigdy nie jest sam. Ktoś, kto znajdzie swoje miejsce w projekcie „200 Szczytów Świata”.



Zbieranie informacji przed wyprawą, fot. Michel Evers.

Jak się Pani przygotowuje do wypraw?

Przed wyprawą do Chin poświęciłam aż cztery miesiące na przygotowania, a w drodze spędziłam trzy miesiące. To jednak była moja druga samotna ekspedycja i jak na razie najdłuższa. Teraz mam taką zasadę, że każda rzecz musi być wielofunkcyjna, bo inaczej nie jedzie ze mną na wyprawę. Za karę zostaje w domu, siedzi w kącie i czeka do mojego powrotu. Wtedy ponownie weryfikuję, co powinnam wziąć, a co zostawić. Przed wyjazdem robię *casting*, ważę, mierzę i wybieram tę rzecz, która jest najlżejsza. Żeby zminimalizować ciężar bagażu odcinam nawet metki od ubrań. Zamiast butów trekkingowych zabieram

buty do biegania. Pakuję śpiwór o połowę cieńszy, ale i lżejszy, niż powinnam mieć. Podobnie jest ze sprzętem wspinaczkowym, biorę tylko niezbędne minimum: dwa karabinki, trzy taśmy, jedną śrubę lodową, raki i czekan. A innym razem zabieram tylko pozytywną afirmację i nadzieję na szczęśliwy powrót. I oczywiście złoszczę się na siebie, gdy czegoś brakuje mi w górach, gdy moknę na drodze, gdy marznę w namiocie. Pakuję się więc skrupulatnie, ale minimalistycznie, a i tak mam 20 kilogramów w plecaku. Informacje o trasie i górach czerpię z Internetu, czasem podpytuję też znajomych. Mapy otrzymuję z zaprzyjaźnionej „Księgarni Podróżnika”. Tanie bilety lotnicze, na wyspy-państwa, wyszukuje mi córka, Kalinka. A Kuba, mój zięć, pomaga mi w tematach fotograficznych. Znajomy artysta-podróżnik, czasem da jakąś dobrą radę. Okazjonalnie ktoś inny pomoże w załatwieniu jakiejś sprawy.

Jak Pani dba o zdrowie i urodę w podróży?

Zabieram ze sobą minirecznik i minikosmetyki, więc trudno mówić o dbaniu o urodę. Po zejściu z gór, moimi zdjęciami można by straszyć dzieci. Poważnie! W górach nie ma mowy o makijażu, ale przed powrotem do cywilizacji muszę chociaż „zrobić oko”, żeby nie przerazić dorosłych.

Do niedawna uważałam, że najlepszymi kosmetykami dla kobiety są górskie słońce i wiatr. Jednak ostatnio zmieniłam zdanie, bo to

prawdziwe SPA: solarium, sauna, lifting i masaż w jednym. Często są nawet bicze wodne lub krioterapia - opuszki u rąk, palce u nóg oraz stopy przymroziłam już kilka razy. Po peruwiańskim słońcu miałam poparzenie twarzy drugiego stopnia, więc skóra zeszła mi z niej całkowicie, ale stopniowo. Najpierw wyglądałam jak pomarańcza obierana po kawałku, lecz po jakimś czasie miałam buzię gładką, jak pupcia niemowlaka. Przed bliznami na twarzy uchronił mnie zwykły „Dermosan”, który dostałam od kolegi z grupy. Znów miałam szczęście, chociaż w górach można znaleźć lepsze kosmetyki, niż w teatralnej garderobie. No i charakteryzację ma się lepszą, niż niejeden aktor... w horrorze. Standard, to twarz spalona słońcem, spuchnięta i z lekkimi odmrożeniami, usta broczące krwią, a włosy zniszczone i potargane. Ja po dłuższym wyjeździe doprowadzam się do porządku przez kilka dni. Za to woda w górach jest cudna, rześka i zdrowa, byle nie ta z lodowca. W Europie najlepsza jest w Islandii i Szwecji, tak przynajmniej twierdzą Skandynawowie.



Wysokogórskie selfie – Pik Rozdzielenia (6148 m n.p.m.), fot. Anna Borecka.

Kiedy odkryła Pani w sobie pasję wspinaczkową?

Wkrótce po urodzeniu dziecka. Poważnie! Ale zacznę od początku.

Moja przygoda z górami zaczęła się, gdy miałam 12 lat. W Beskidach zachwyciłam się pięknym widokiem i powiedziałam, że zawsze chcę chodzić po górach.

Na pierwsze taternickie ścieżki weszłam zaraz po zdaniu matury.

W trzecim tygodniu ciąży zdobyłam **Żabi Szczyt Wyżni** (2259 m), a niedługo potem córka otrzymała tatrzańskie imię. Wtedy jeździliśmy rodzinnie w Tatry, ja z mężem i z siostrą. Byliśmy stałymi bywalcami szałasów na Rusinowej Polanie, a tam rosło piękne drzewo kaliny. Tak narodził się pomysł imienia dla naszej Kalinki. A potem rodzinnie podnieśliśmy sobie poprzeczkę. W skałach Krystyna poznała swojego przyszłego męża, Roberta, więc wspinaliśmy się w dwóch zespołach, w kobiecym i męskim.

Gdy zostałam mamą przyszła do mnie w odwiedziny moja siostra i powiedziała, że zapisuje się na kurs wspinaczkowy. Ja na to, że też bym chciała, ale jestem już żoną i matką. Nie miałam jeszcze wtedy 22 lat, ale wydawało mi się, że na wiele rzeczy jest już za późno. Siostra stwierdziła jednak, że w życiu zawsze trzeba iść naprzód, więc poszłam.

Jesienią chodziłam na kurs teoretyczny, a wiosną miałyśmy razem kurs praktyczny w Górach Sokolich, koło Jeleniej Góry. Moja córka miała dziewięć miesięcy, gdy zaczęłam się wspinać. I to w oryginalny sposób, bo byłam zabalsamowana niczym mumia. Jako „Matka Polka z Karmiących” nie mogłam sobie poradzić z nadmiarem pokarmu, ale Krystyna znalazła na to sposób. Była wtedy pielęgniarką, więc codziennie przed wspinaczką bandażowała mi tułów. I tak zdałam egzamin. Od razu złapałam wspinaczkowego bakcyła. To była duża adrenalina i strach, ale też radość z pokonywania trudności technicznych.

Ważylaam wtedy 53 kilogramy i z ciekawością uczyłam się poruszania w pionie. W pasie miałam 62 cm, a alpinista szyjący mi uprząż wspinaczkową stwierdził, że takiej szczupłej klientki to jeszcze nie miał.

Pamięta Pani swoją pierwszą wyprawę?

Najpierw były wyjazdy wspinaczkowe w Sokoliki, potem w Tatry i Alpy, weekendowo lub wakacyjnie. Wspinaliśmy się związani liną, na drogach trójkowych lub czwórkowych. Na pierwszą wyprawę, w dodatku komercyjną i w dużej grupie, wyruszyłam w Kaukaz, w 2003 roku. W ciągu 26 dni wspięliśmy się po skale na szczyt mierzący około 3900 m, potem na **Uiłpatę** o wysokości 4644 m, jeszcze weszliśmy na **Czeget Karabaszi** (3753 m), **Kurmutau** (4045 m) i na oba wierzchołki **Elbrusu** (5642 i 5621m). Było trochę wspinaczki pod okiem zawodowego instruktora z Białorusi, a trochę trekkingu na niezbyt trudne, ale wysokie bałuchy.

Jednak w życiu zawsze miałam pod górkę. Na pięć dni przed tą wyprawą musiałam wezwać pogotowie. Przestałam widzieć, serce waliło mi jak młotem i bałam się, że zemdleję. Miałam jakiś wstrząs anafilaktyczny, bo antybiotyk, który brałam, ponoć był już rzadko zalecany przez lekarzy. Pogotowie chciało mnie zabrać do szpitala, a ja na to, że mam opłacony urlop i niedługo wyjeżdżam. Nie przyznałam się, że przez prawie miesiąc będę

dźwigać 30-kilogramowy bagaż na Kaukazie. Potem z trudem spakowałam się, a gdy zakładałam plecak, to przewróciłam się pod jego ciężarem. No, ale za trzecim razem udało się. Żeby zregenerować siły, w czasie dwóch dni podróży pociągiem, dużo spałam. W Północnej Osetii nocowaliśmy w starym zamczysku i tam miałam kolejny atak, na szczęście już słabszy. Wtedy pomógł mi jeden z uczestników wyjazdu, były komandos, który znał zasady pierwszej pomocy. Potem jeszcze zasłabłam w górach, na chwilę przed tym, jak dopadła nas lawina. Jednak nie przyznałam się, co się ze mną dzieje. Byłam zdziwiona reakcją niektórych osób, bo ta lawina nie była wcale taka duża. Ja bardziej bałam się, że padnę z powodu trefnego antybiotyku, niż niewielkich bryłek śnieżno-lodowych.

Potem były inne wyprawy grupowe: na **Aconcaguę** w Argentynie (6960 m), na **Pisco** (5752 m) w Peru. Był też wyjazd wspinaczkowy na siedem czterotysięczników w masywie Monte Rosa, we Włoszech. Dzięki temu zdobyłam doświadczenie, potrzebne do realizacji samotnych wypraw: przez Karpaty na Ararat, autostopem do Chin – ze wspinaczką powyżej 6000 metrów, autostopem w góry niemal całej Europy, a ostatnio nawet Afryki.



Na zachodnim wierzchołku Elbrusu (5642 m n.p.m.), fot. ze zbioru Anny Boreckiej.

Kiedyś wspinała się pani zespołowo, teraz samotnie. Czy coś się stało, że zdecydowała się Pani na tak odważne, samodzielne wyprawy?

W latach 2001 – 2006 wspinałam się w męskim gronie, ale w różnych, często przypadkowych zespołach. Weszłam wtedy na takie szczyty, jak **Triglav** (2863 m), **Mont Blanc** (4810 m), **Grossglockner** (3798 m) i wspomniane powyżej góry. Wspinałam się też w lodospadach Słowackiego Raju i w austriackim Maltatalu. To był nowy żywioł i fascynacja naturą: 20 stopni mrozu, zamarznęty wodospad i niebywała cisza. A ja,

uzbrojona w czekany i raki do wspinaczki lodowej oraz trochę szpeju, szłam znów w pionie. Najpierw wspinaliśmy się „na wędkę”, a potem w zespołach dwu- lub trzyosobowych. Chłopaki nie pozwalali mi prowadzić, bo oni mieli po 10-15 lat doświadczeń we wspinaczce lodowej, a ja byłam świeżynką. Parę razy poszłam więc na żywca, czyli sama i bez asekuracji, na niewielkich lodospadach. No więc raz czy dwa pozwolili mi prowadzić.

Latem 2006 roku nastąpił przełom, bo umówiłam się online, na wspinaczkę w Sokolikach, z kimś, kogo nie znałam. I wtedy przeszłam drogę wspinaczkową, na której zginął mój mąż – Darek. Oczywiście nic o tym nie powiedziałam nowemu koledze. Dowiedział się o mnie trochę więcej, gdy spotkaliśmy się jakieś pół roku później i wręczyłam mu swoją pierwszą książkę, pt. „Alpinizm – życie na haju”. W niej opisałam nie tylko zabawne historie ze wspinaczki zespołowej i zdobywania gór do 2006 roku, ale też wypadek Darka, moją traumę i antidotum na nią, jakim po latach okazały się znowu góry.

W roku 2007 postanowiłam, że nie będę się już wspinać. Jednak w 2008 roku zginął w górach mój znajomy, a jego żona poprosiła mnie o zajęcie się akcją ratowniczą i sprowadzeniem ciała do Polski. Wtedy przeżyłam kolejną traumę, a jak się z niej otrząsnęłam, to paradoksalnie, postanowiłam zorganizować samotną wyprawę. Pomyślałam wtedy, że przynajmniej nikt mi

na niej nie umrze.



Wspinaczka w lodospadach Słowackiego Raju, fot. ze zbioru Anny Boreckiej.

Mówi Pani o śmierci w górach. Gdy oglądałam film dokumentalny Pawła Wysoczańskiego „Jurek” o himalaiście Jerzym Kukuczce, targały mną różne emocje, od podziwu po żal. Zadawałam sobie pytanie, dlaczego alpiniści zakładają rodziny, dlaczego narażają bliskich na życie w wiecznym strachu? Pani też straciła w górach męża w 1992 r. Nie umiem sobie wyobrazić traumy, którą

musiała Pani przejść, zostając sama z dwuletnią córeczką. A jednak... dalej Pani zdobywa szczyty.

Niestety, każdy alpinista naraża swoich bliskich na wielki stres i w tym jest egoistyczny, ja także. Jednak organizując samotne wyprawy, wybieram góry w granicach moich możliwości fizycznych, zdobytego doświadczenia i trudności wspinaczkowych. W moim projekcie „200 Szczytów Świata” jest wiele zwykłych, turystycznych gór, lecz te, na których trzeba zawalczyć, są po prostu bardziej zacne. Te mnie najbardziej cieszą.

A jeśli chodzi o tamtą sprawę, to... Darek miał 25 lat, gdy zginął, a ja miałam 24 lata. Cóрка miała wtedy dwa latka i przykrywała mnie tetrową pieluszką, gdy płakałam zwinięta w kłębek. Przez wiele lat czułam się winna, że pojechaliśmy na wspinaczkę w czwórkę, a wróciliśmy w trójkę, że dziecko straciło ojca, że ja żyję... Dzięki mojej mamie podźwignęłam się, bo kazała mi żyć dla córki. Dopiero po czternastu latach całkowicie wyszłam z traumy, właśnie wtedy, gdy przeszłam skalną drogę, na której zginął Darek. Napisałam o tym w książce, bo to było moje osobiste *katharsis*. Z córką do dzisiaj jestem silnie związana emocjonalnie. Czasem nawet zamieniamy się rolami, gdy ona mi trochę matkuje, jednak bardziej jesteśmy przyjaciółkami.

Co takiego jest w samotnych wyprawach, że tak Panią

pociągają?

Mam kilka powodów do organizacji samotnych wypraw, jak wolność, ciekawość świata i ludzi oraz notoryczny brak kasy. No, taka jest prawda. Z jednej strony jestem organizatorem, liderem i uczestnikiem, więc robię wszystko tak jak chcę, biorąc pod uwagę znikome fundusze. Z drugiej strony cieszę się z poznawania nowych krajów i ciekawych osób, oraz radzenia sobie na autostopie lub w górach. Odkryłam też nowe umiejętności, o których wcześniej nie miałam pojęcia. Jest to błyskawiczne podejmowanie decyzji w sytuacji zagrożenia, w kontaktach z ludźmi i w czasie walki z żywiołami. Jest to totalna koncentracja podczas solowej wspinaczki w obcym terenie. Jest też trening mentalny przed i w czasie wyjazdu, oraz powtarzanie mantry, że spotykam tylko dobrych ludzi. Wreszcie jest to korzystanie z intuicji. Są też piękne spotkania z ludźmi o pokrewnych duszach, którzy od razu wydają mi się znajomi. Są bajeczne krajobrazy, jest czas na fotografię i na zadumę. To ta niezależność tak mnie pociąga. Poza tym, nikt nie brzęczy mi nad uchem, opowiadając o swoich problemach w czasie, kiedy powinien skoncentrować się na drodze lub pięknie otaczającego świata. Góry są też świetnym miejscem na oczyszczanie psychiki z przyziemnych spraw oraz organizmu – z miejskiego smogu. Tak, niektórym ludziom wyjazdy górskie powinny być zalecane na receptę. (Śmiech) A ja mogę te recepty wypisywać.

Bywają też niezwykle spotkania z przyrodą. Kiedyś rozbiłam namiot nad jeziorem, w górach Sierra Nevada w Hiszpanii, na wysokości 3000 metrów. I przyszła do mnie górska kozica. Wskoczyła na duży głaz i spojrzała w dół. Gotowałam wtedy zupełnie na kuchence turystycznej. Kozica mnie widziała, a jednak stała na kamieniu z wyciągniętą szyją, wdychając zapachy. Ostrożnie sięgnęłam po aparat fotograficzny, jednak ona była szybsza. A szkoda, bo miałaby piękny portret z odległości dwóch metrów, jako zdjęcie profilowe na fejsbuku. (Śmiech)



W górach Sierra Nevada do koleby przyszła górska kozica, fot. Anna Borecka.

Czy dla Pani góry to jest rodzaj uzależnienia?

W górach czuję się jak w domu. Wielu ludzi boi się dzikiej natury, żywiołów, trudów, ucieka od niewygód i niebezpiecznych sytuacji. A ja gdy idę w góry, to gęba śmieje mi się od ucha do ucha. To jest mój raj na Ziemi, bo góry są święte. Dopiero tam człowiek dostrzega, jaki jest mały, i że jest tylko częścią natury. Wtedy wszystko wydaje się bardziej proste. Łapie się dystans do wielu spraw i do samego siebie. Wówczas przychodzi mi na myśl, że nie muszę nic, więc mogę wszystko. Mogę wreszcie realizować swoje marzenia.

Bywają też chwile grozy, gdy proszę Boga, żeby dał mi choć jednego człowieka. To jest dziwne, ale czasem łatwiej jest wspinać się po obludzonej grani, gdy ktoś jest obok. Nawet, gdy to jest ktoś obcy i działający samodzielnie. Chociaż miałam niezwykle przeżycie w drodze na Mont Blanc, w czasie śnieżnej zadymki. To było moje drugie spotkanie z tą górą, jednak przy okazji, bo moim głównym celem było wspięcie się na **Mont Blanc de Courmayer** (4748 m), najwyższy szczyt Włoch. Było dosyć stromo, zimno i ślisko, a ja byłam sama, w dodatku w minirakach – z sześcioma zamiast dziesięcioma zębami. Ręce przymarzały mi do czekana i kijka trekkingowego, ostrza raków słabo wchodziły w lód i zaczęłam się bać. Po chwili, ni stąd, ni zowąd, spłynęła na mnie dziwna cisza. Pomyślałam wtedy, że to nieważne, co się za chwilę stanie, bo ja już tutaj zostawiłam swój

ślad. Gdybym nawet spadła z tej grani, to nie ma to żadnego znaczenia, bo przecież należę do tej góry tak samo, jak ona należy do mnie. To było wtedy takie oczywiste, że uspokoiłam się i ruszyłam dalej.

Czy góry uzależniają? Tego nie wiem. Dla mnie to jest zew. W pewnym momencie jakaś góra zaczyna za mną chodzić, więc i ja muszę do niej iść, żeby się przywitać, poznać bliżej i mieć własne zdanie na jej temat. Z resztą, myślę, że z wzajemnością. (Śmiech) A poważnie mówiąc, to góry są niezłą szkołą życia, nauką o wolności w ekstremalnych warunkach.



Wschód słońca w drodze na Mont Blanc (4810 m n.p.m.), fot. Anna Borecka.

Dalszy ciąg rozmowy z Anną Borecką, o przemierzonych krajach, spotkanych ludziach, przygodach w górach, życiowych celach i nauce, jaką otrzymuje się od gór – ukaże się w piątek 15 marca 2019 r.

O Annie Boreckiej:

<https://www.cultureave.com/sukces-2018-50-gora-sposrod-200-sz>

Chopin. Pragnienie miłości.

Z twórcami filmu „Chopin. Pragnienie miłości” rozmawia Joanna Sokołowska-Gwizdka.



Jerzy Antczak i Jadwiga Barańska, fot. East News.

Jerzy Antczak:

Opieraliśmy się w dużej mierze na listach, notach biograficznych i na tym co współcześni kompozytorowi i jego przyjaciele mówili o Chopinie. Fryderyk Chopin to postać dość enigmatyczna. Skrywał on skrzętnie swój wewnętrzny świat. Jak powiedział Liszt, gdyby nie jego muzyka, którą pozostawił w zapisie nutowym, uwierzylibyśmy w to, że w ogóle nie istniał. Dlatego w jego biografii jest wiele rzeczy niedopowiedzianych, ukrytych, pewne rzeczy podlegają weryfikacji. Staraliśmy się więc domysleć, uzupełnić luki w biografii, ale nie chcieliśmy stworzyć bajki. Naszym zamiarem było zrobienie filmu wiernego temu, jak my sobie wyobrażamy Chopina. Tak samo jest z jego muzyką. Jeden mówi, że tak należy grać mazurka, a drugi, że należy grać inaczej. Uczniowie pytali Chopina – mistrzu jak powinniśmy pana grać? – Na co on odpowiedział – graj mnie swoimi uczuciami.

Tajemnica Chopina polega na tym, że jego trzeba otwierać własnymi uczuciami. W filmie są więc uczucia Barańskiej i uczucia Antczaka. Staraliśmy się pokazać Chopina jako żywego, materialnego człowieka, a nie świetlistego, lakierkowego. Nasz Chopin jest ułomny jako człowiek, ale za to geniusz muzyczny. Tylko wtedy uzyskamy prawdę, jeśli pokażemy postać w kategoriach ludzkich. Gdybyśmy pokazali tylko laurkę, nie byłby to prawdziwy obraz. Zawsze jednak powstaje pytanie, jak znaleźć balans, żeby nie naruszyć wyobraźni. Literatura romantyczna

ubrała Chopina w nimb nieskalanego ariela, stworzyła jego legendę, upiekszając rzeczywistość. Symbolem tych romantycznych wyobrażeń jest pomnik Chopina w Warszawie. Szymanowski w pomniku przedstawił go takiego zwiędniętego w tej wierzbie. My mieliśmy świadomość, że będziemy oskarżeni o zbrukanie świętości, ale nam się wydawało, że przez taki obraz uzyska się jego wielkość, że właśnie w różnych drobiazgach z codziennego życia ukryta jest prawda o człowieku, że taki obraz zbliża do niego odbiorcę. Wszystko co pojawia się w filmie jest oparte na źródłach.

Maurycy – to historia nieudanego malarza, przeciętnego człowieka, który nie mógł znieść, że ktoś zabrał mu matkę. Staraliśmy się oddać rację Maurycemu, pokazać, że miał powody. Ale z kolei Chopin, też jest w tym układzie nieszczęśliwy. Prawdą jest, że każdy genialny artysta jest egoistyczny, jest człowiekiem, który nie widzi otoczenia, nie dlatego, że zazdrości, tylko dlatego, że jest pochłonięty emocjami, żyje w innym wymiarze. Tymczasem George była kobietą, która umiała połączyć swoją literaturę z troską o dzieci, ze smażeniem konfitur itd.

W naszym filmie staraliśmy się wybronić George. Literatura romantyczna oskarżyła ją o zniszczenie Chopina. Przedstawiona została jako wampirzyca, która wyssała z Chopina wszystkie soki. To jest nieprawda. Chopin stworzył w Nohant 60 procent swoich

utworów. Bez George muzyka Chopina byłaby uboższa. Stało się tak nie dlatego, że ona mu dała inspirację, czy że pomogła mu komponować. Ona mu dała życiowy spokój, stworzyła mu warunki, gdzie mógł oddać się wyłącznie tworzeniu. Pamiętajmy również, że Chopin był ciężko chorym człowiekiem, który żył na kredyt. On cały czas ma świadomość, że życie z niego ucieka. Nie ogląda się więc dookoła, bo nie ma czasu na nic innego, jak tylko tworzenie.



Piotr Adamczyk w filmie „Chopin. Pragnienie miłości”, fot. materiały prasowe.

Następna sprawa, to polskość. Nie chcieliśmy pokazywać tego patriotyzmu orzelkowego. Wiadomą rzeczą jest jednak, że Chopin zabrał ze sobą w obce kraje tęsknotę, nostalgię i ból. My wiedzieliśmy, że właśnie wierzby symbolizują tę jego tęsknotę. W każdym niemal liście Chopin pisze – a te wierzby tam przy tej

drodze sa jeszcze? Kiedy był bardzo chory, w Londynie, pisał do Grzymaly - jestem jak ta wierzba, co stoi przy drodze okaleczona, z poobcinanymi tymi czubami. Ciągłe pojawiają się metafory, jego tesknoty, do krajobrazów, do bocianów.

Ale jak powiedziałem, my robiliśmy film według naszych własnych uczuć i ten film może być odbierany przez ludzi, którzy posiadają uczucia. W tym filmie nikt, nikogo nie zabija, poza tym, że bohaterowie zabijają się emocjonalnie, cierpieniem. Staraliśmy się zrobić film, w którym jedyną perfekcyjną i nie skalaną sprawą, jest muzyka. Cała reszta jest tylko przypisem, jest tylko cierpieniem, dramatem ludzkim i świadomością, jak strasznie trudno jest zdobyć miłość, a jak łatwo ją stracić.

Wszystkie duże filmy składają się z banałów. Gdybyśmy my powiedzieli szekspirowskie - być, albo nie być, to wyszłoby najbardziej banalne stwierdzenie, jakie istnieje. No bo co takiego wielkiego jest w tych słowach. Ale pod te słowa można podłożyć miliony znaczeń, bo można być albo nie być człowiekiem, być albo nie być świadomym tego, co ma się do zrobienia itd. Dopiero słowa nabierają wartości w zderzeniu ze znaczeniem. A każde słowo wyjęte z kontekstu jest banalne. Ten walc a-moll, który jest głównym motywem filmu, Chopin uważał za jeden z najbardziej banalnych jego utworów i nie chciał go opublikować. Ale też powiedział - jakbyście chcieli zobaczyć mnie, to ja jestem w tym utworze. Czyli ten geniusz wstydził się banalności. Jaka

jest straszna siła ludzi, którzy jeśli nie wiedzą jak coś określić, to mówią – banalne. To jest nieprawda, bo wszystko wymaga odniesienia. I my próbowaliśmy znaleźć w tym filmie odniesienie. Adresowaliśmy ten film do ludzi wrażliwych, do ludzi, którzy czują i chcą piękna.



Piotr Adamczyk w filmie „Chopin. Pragnienie miłości”, fot. materiały prasowe.

Jakiś czas temu byliśmy z Jadzią w Moskwie na festiwalu filmowym „Twarze miłości”. Byłem przewodniczącym jury. To były filmy rzekomo o miłości. Wyjechaliśmy z Jadzią chorzy z tego festiwalu. Dzisiaj miłość można określić jednym krótkim słowem. Miłość przestała istnieć w słowniku młodych ludzi. Ale jeden z filmów nagrodziliśmy. Za jedyne 50 tys. dolarów powstał

film o prawdziwej miłości, takiej, która przerasta ludzką wyobraźnię. I to jest pocieszające, że jeszcze istnieją wartości.

Ale powracając do Chopina, znowu nasuwa mi się zdanie szekspirowskie, z „Hamleta” – *niech ryczy z bólu ranny łoś, zwierz zdrów obiega knieje, ktoś nie śpi, żeby spać mógł ktoś, to są zwyczajne dzieje*. Jedno z największych metaforycznych powiedzeń, jakie zna literatura – ktoś nie śpi, żeby spać mógł ktoś. Za twórczością każdego artysty stoją nieprzespane noce, stoi cierpienie, życie w ciągłym stresie, niepokój, czy to co robię, jest dobre. Łatwo jest okaleczyć artystę. Łatwo jest krytykować. Ja mogę powiedzieć w swoim imieniu – mnie się wydaje. Ale dlaczego mam zabierać głos w czyimś imieniu. Zrobiłem film w swoim imieniu i dla jednego widza. Dla widza siedzącego w rzedzie, w mrocznej sali, który chce ze mną rozmawiać. Nie wiem ilu jest takich widzów. Jak jest ich sześciuset, to dobrze, jak pięciuset, to też dobrze. Ale ja zawsze wyobrażam sobie tego jednego, modelowego.



Jadwiga Barańska w filmie „Chopin. Pragnienie miłości”, fot. materiały prasowe.

Jadwiga Barańska:

Dobór aktorów był dość trudny i trwał bardzo długo. Najtrudniej było znaleźć aktora do roli Chopina. Musiał to być wyjątkowy aktor. Chopin był słabym człowiekiem na zewnątrz, ale bardzo mocnym w środku, taki słabosilny. Chcieliśmy więc znaleźć aktora, który byłby kruchy fizycznie, a jednocześnie był dosyć mocną indywidualnością w środku, do tego szalenie wrażliwy i grający na fortepianie. No i to było po prostu niemożliwe, niewykonalne. Szukaliśmy nie tylko w Polsce, ale i w Europie. Znaleźć kogoś takiego było strasznie trudne. Dostaliśmy zdjęcie Piotra Adamczyka, potem jego kasety. Nie wiem dlaczego, ale mężowi on się nie bardzo spodobał. A do tego nie grał na fortepianie. Mówię do męża – co ci szkodzi, żebyś go zobaczył

prywatnie jak on wygląda. Gdy wszedł Piotr, kruchy dosyć wysoki, delikatny, niemal przezroczysty i niósł w sobie coś, co było niepowtarzalne, po 15 minutach mąż się zapytał, czy zgodził by się pan zagrać Chopina u mnie w filmie?

Piotr Adamczyk nauczył się grać na fortepianie specjalnie do tego filmu. Więc dokonał rzeczy po prostu niezwykłej.

Z rolą George było inaczej. Od początku wiadomo było, że tylko Danuta Stenka może tę rolę zagrać. Jest to świetna i doświadczona aktorka.

Film był kręcony w autentycznych miejscach, w Paryżu, na Majorce, w Warszawie i w Kozłówce, w pałacu Zamojskich pod Lublinem, które to miejsce udaje nasze Nohant. Obecne wnętrza Nohant zupełnie nie przypominają tych wnętrz, które były za czasów Chopina. Są bardzo zniszczone, nie są tak bogate.

Kolysanka, która pojawia się w filmie pochodzi z początku XIX w. Była przekazywana z pokolenia na pokolenie. Tej kolysanki nauczyła mnie moja matka. Lecz do filmu trzeba było zmodyfikować tekst, gdyż słowa były bardzo archaiczne. Zrobił to Ernest Bryll.

Jadwiga Barańska znana jest przede wszystkim z głównych ról w filmach Jerzego Antczaka „Hrabina Cosel” i „Noce i dnie”. Rola Barbary Niechcic weszła do historii kina polskiego i jest jedną z najbardziej pamiętanych wielkich kreacji filmowych. Aktorka grała również szereg głównych ról w sztukach teatralnych w Teatrze Klasycznym, Teatrze Polskim i Teatrze Telewizji. Jest także scenarzystką. („Dama kameliowa”, film w reżyserii Jerzego Antczaka, „Scieżki chwały” oraz „Cezar i Pompejusz”, sztuki dla Teatru Telewizji).

Jerzy Antczak, reżyser wielkich filmów, takich jak „Noce i dnie”, przez szereg lat był naczelnym reżyserem Telewizji Polskiej oraz dyrektorem Teatru Telewizji, którego był też współtwórcą. Ma na swym koncie ponad 100 widowisk teatralnych jako reżyser i scenarzysta. Od 1979 roku razem z żoną Jadwigą Barańską mieszka w Los Angeles. Był profesorem (tenure) w Szkole Filmowej UCLA.

„Chopin. Pragnienie miłości” (2002).

Scenariusz: Jadwiga Barańska, Jerzy Antczak, **reżyseria:** Jerzy Antczak, **współpraca reżyserska:** Jadwiga Barańska, **w rolach głównych:** Fryderyk Chopin: Piotr Adamczyk, George Sand: Danuta Stenka, Maurycy: Adam Woronowicz, Solange: Sara Muldner, Bożena Stachura, Justyna Chopin: Jadwiga Barańska, Mikołaj Chopin: Jerzy Zelnik

Rozmowa ukazała się w „Gazecie” w Toronto w 2002 r.

O Fryderyku Chopinie w Nohant:

<http://www.cultureave.com/fortepian-i-pioro/>

Nie uznaję
kompromisów
w sztuce



Grażyna Auguścik, fot. Magda Marczevska.

Bożena U. Zaremba:

Co Panią fascynuje w muzyce ludowej?

Grażyna Auguścik:

Prawda. Poza tym, jest to część naszej tożsamości. Chopin jest najlepszym przykładem, jak można wynieść tę muzykę na inny poziom. Inspiracje z niej czerpali inni kompozytorzy klasyczni, ale osobiście uważam, że w Polsce muzyka ludowa została zepchnięta na margines kultury, a przeciętny rodak niewiele zna ze swojej rodzimej tradycji. Muzyka ludowa pojawiła się w ostatnich latach dość agresywnie w muzyce popularnej, bo takie

są tendencje na świecie. Moda dyktuje nam to czego mamy słuchać, jak wyglądać. Ja natomiast, fascynację muzyką ludową mam w genach. Dziadkowie, rodzice grali i śpiewali. Czuję tę ludową „nutę” i myślę, że słyszeć ją również, czy chcę czy nie chcę, w tym co i jak śpiewam.

A inne inspiracje?

Czerpię z muzyki ludowej całego świata – brazylijskiej, arabskiej, afrykańskiej, bałkańskiej, i śpiewam to, co jest bliskie mojej stylistyce, to co czuję.

Ale jest Pani wokalistką jazzową. Gdzie jest w takim razie miejsce na jazz?

Dla mnie muzyka nie ma granic. Muzyka ludowa to moje korzenie, to natura, której jestem częścią. Co z tym zrobimy, do jakiego typu muzyki potem zaklasyfikujemy, to już naprawdę nie ma znaczenia, to są tylko nazwy. Śpiewam dużo *scatem*, czyli bez tekstu, improwizuję na podstawie określonego tematu. Lubię ten element improwizacji, który jest najistotniejszym składnikiem jazzu.

Czy czerpanie z polskiej muzyki ludowej może być sposobem na wybitcie się polskich jazzmanów w świecie?

Myślę, że oryginalność i „inność” mają zawsze większą szansę być zauważonymi. Świat muzyczny jest ogromny, muzycy coraz młodszy i lepsi. Przepływ informacji – nieograniczony i niemal natychmiastowy. W tej ogromnej masie łatwiej jest zauważyć coś innego. Dlaczego więc nie spróbować wykorzystać tego, co naszej duszy najbliższe? Ale każdy jest inny i nie każdy lubi muzykę ludową. Nie potrafię odpowiedzieć czy folklor rodzimy jest receptą na sukces światowy.

Czy właśnie ta odmienność spowodowała, że Pani zaistniała na rynku amerykańskim?

Możliwe. Myślę, że wypracowałam własny styl, własny język, śpiewam po swojemu.

Zaczynała Pani od piosenki. Co skłoniło Panią do pójścia w stronę jazzu?

Piosenka to była jedyna droga dla amatora, żeby na różnego typu konkursach zaprezentować swoje umiejętności. Piosenka nigdy nie była moją mocną stroną i tak naprawdę zaistniałam w świecie zawodowym śpiewając muzykę jazzową. Skazałam siebie od początku na tzw. *underground*, bo jazz jest muzyką niszową. Dzięki temu jednak mam wolność artystyczną. Tworzę, przetwarzam to co chcę, jak chcę, jestem bardzo otwarta na każdą, dobrą muzykę. Możliwość tworzenia jest dla mnie

radością i terapią.



Grażyna Auguścik w Chicago, fot. Magda Marczevska.

Howard Reich z „Chicago Tribune” napisał, że Pani „nie jest jedynie wokalistką, ale muzykiem, który widzi cel w każdej nucie, którą śpiewa”. Kiedy mówimy „muzyk” myślimy „instrumentalista”, w najlepszym wypadku „dyrygent”, ale o wokaliście się tak nie mówi (chyba, że jest równocześnie instrumentalistą). Jaka jest, więc różnica między „tylko wokalistą” a „muzykiem”? Gdzie leży granica?

Głos to najdoskonalszy instrument, również o ogromnych możliwościach. Rzecz w tym, żeby wydobyć z niego te możliwości. Używam głosu nie tylko do interpretacji tekstu, ale, śpiewając *scatem*, również do improwizacji – traktuję go instrumentalnie. To prawdziwa przyjemność opowiadać własnym językiem.

Jest tam wiele wokalne ekwilibrystyki, ale też dużo liryki, zwłaszcza w wolnych tempach, gdzie używa Pani często niestandardowych sylab. Czasem brzmi to jak jakiś egzotyczny dialekt...

Słuchanie innych instrumentów napewno ma wpływ na tworzenie własnych środków wyrazu, własnego brzmienia. Podczas śpiewania *scatem* często używam wiele niezrozumiałych przez nikogo sylab. Sama nie wiem jak to robię, to dzieje się spontanicznie. Improwizacja oparta jest na emocjach, które niesie muzyka. Tym łatwiej jest wykreować na tej bazie coś co może brzmieć niecodziennie, egzotycznie, a nawet tajemniczo.

Pani improwizacje nie są konieczne solówkami, ale często współgrają i współbrzmia z innym instrumentem, jak w wokalizie z utworu, „Czemu żeś mnie matuleńko” - to jest taka „gonitwa” z akordeonem.

Tak, to też bardzo lubię. To są częściowo zaaranżowane solówki,

gdzie wykorzystuje się współbrzmienie głosu i danego instrumentu, i kreuje jeszcze inny kolor. Muzyka jest bardzo kolorowa, a to dzięki właśnie różnym brzmieniom i współbrzmieniom.

Czy Pani sama aranżuje utwory?

W większości to są moje pomysły. Preferuję tzw. koncepcje grania „otwartego” w zespole, czyli daję muzykom swobodę we wspólnym graniu, dlatego również wiele pomysłów aranżacyjnych powstaje we współpracy z nimi. Każdy koncert jest inny. I właśnie o to mi chodzi. Muzyków dobieram starannie. Nie pracuje z przypadkowymi instrumentalistami.

Przywiązuje Pani dużą wagę do brzmienia. Tomasz Stańko powiedział kiedyś, że brzmienie instrumentu jest odzwierciedleniem życia. Czy zgadza się Pani z tym?

Absolutnie. Opowiadamy swoje życie muzyką. A dobre brzmienie pomaga nam te historie opowiedzieć tak, żeby publiczność czekała na ciąg dalszy.

Zamieszkała Pani na stałe w Chicago. Czy tradycje jazzowe tego miasta miały na to jakiś wpływ?

Po skończeniu *Berklee College of Music* w Bostonie, wielu moich

kolegów wyjechało do Nowego Jorku – stolicy sztuki i inspiracji, ale także ciężkiego życia dla artystów. Byłam zmęczona szkołą, a prawdopodobnie na początku swojego pobytu w Nowym Jorku byłabym skazana na pracę inną niż tylko muzyka. Szkoda mi było na to czasu, dlatego zdecydowałam się przyjechać do Chicago, które znałam z wcześniejszych wypraw. Chicago to wielkie środowisko, mieszka tu mnóstwo wspaniałych muzyków; to miasto z ogromnymi tradycjami muzycznymi jak blues, jazz, awangarda jazzowa; to wreszcie wieloetniczne miasto, a więc możliwość współpracy z muzykami z różnych części świata. Poza tym jak się wie co się chce robić, można mieszkać wszędzie.

Jest Pani związana z klubem jazzowym Green Mill, uważanym za jeden z najlepszych na świecie...

Tak, a przy tym ma prawie 100 lat, a tradycje muzyczne sięgają jeszcze czasów kina niemego. Ma swoją burzliwą historię związaną między innymi z jej współwłaścicielem Al Capone. Dziś klub pozostał w niezmienionym wnętrzu, ma świetne brzmienie, swoje gwiazdy (Patricia Barber czy Kurt Elling przez wiele lat tu koncertowali), ma swoją wspaniałą publiczność i fantastycznego właściciela Davida Jemilo, w żyłach którego płynie również polska krew. Od mojego pierwszego koncertu, który miał miejsce [w 1989 r.], jestem częścią rodziny Green Milla.

Czy gdyby Pani została w Polsce śpiewałaby Pani inaczej?

Myszę, że nie miałabym takiej możliwości poznania i współpracy z tak dużą ilością różnorodnych muzyków. Polska ma oczywiście możliwość obserwacji tego, co dzieje się na świecie i jest miejscem koncertów największych i mniejszych gwiazd estrady światowej. A ja wielu z nich mam na co dzień, mam możliwość wspólnych rozmów i współpracy z nimi, i to bez wielkich zabiegów.



Grażyna Auguścik, fot. Marta Ignatowicz, www.martaignatowicz.com

Proszę powiedzieć jeszcze coś o swoim wydawnictwie płytowym.

Swoją niezależną działalność zaczęłam [w 1997 r.] Próbowałam zainteresować swoją muzyką różne wydawnictwa, ale szybko zorientowałam się, że to wszystko rządzi się albo przypadkiem albo koneksjami. Na przypadki nie liczę, koneksji brak, więc założyłam własną firmę i sama wydaję, promuję, załatwiam koncerty. Jest to zdecydowanie wielki pożeracz czasu i źródło mojej wiecznej frustracji, bo zostaje mało czasu na muzykę. Realizuję swoje projekty z muzyką, którą czuję, mam zupełną wolność i to daje mi napęd do życia. Nie uznaję kompromisów w sztuce, chociaż jest to trudne i ryzykowne, ale się opłaca. Myślę, że to co robię wymaga dużej odwagi. Jestem Polką w Stanach, mam trudne nazwisko do wymówienia, śpiewam jazz, więc muszę być na tzw. „froncie”, zapewnić wszystkim pracę, muszę to wszystko oprawić i sprzedać. Nie lubię wywiadów [*śmiech*], bo często zadają mi kłopotliwe pytania, dotyczące mojej prywatności.

Ja nie pytam [*śmiech*].

My rozmawiamy o rzeczach przyjemnych. Ale tak naprawdę, muzyka wypełnia całe moje życie i właśnie to jest najbardziej intymna jego strona.

Od 22 lutego do 1 marca 2019 r. trwać będzie już trzecia edycja organizowanego przez Grażynę Auguścik Festiwalu „Chopin in the City”. Wszystkich zainteresowanych zapraszamy do Chicago.

Redakcja

<http://soundsandnotes.org/>

Fotografie pochodzą ze strony artystki:
www.grazynaauguscik.com

Pełna wersja wywiadu ukazała się w 23 lutego 2007 r. w „Przeglądzie Polskim”, dodatku kulturalnym „Nowego Dziennika”: www.dziennik.com.

Angielska wersja wywiadu – na stronie Chopin Society of Atlanta:

<http://www.chopinatlanta.org/past.html>.

Rotmistrz Witold Pilecki na Broadway'u

Romowa z Markiem Proboszem o sukcesie monodramu „Ochotnik do Auschwitz” w Nowym Jorku.



Marek Probosz jako rotmistrz Witold Pilecki w monodramie „Ochotnik do Auschwitz” na Broadway’u, fot. arch. Marka Probosza.

Joanna Sokołowska-Gwizdka:

W jakże ważnym dla każdego Polaka dniu, 11 listopada 2018 roku - w 100-lecie odzyskania przez Polskę niepodległości w Theatre Row na nowojorskim Broadway’u miała miejsce premiera spektaklu *Ochotnik do Auschwitz: Rotmistrz Witold Pilecki*. Jest Pan zarówno aktorem, który wcielił się w tę historyczną postać, jak i reżyserem spektaklu. Monodram był pokazywany w ramach największego na świecie festiwalu jednego aktora - United

Solo 2018, którego twórcą jest Omar Sangare. Czy trudno było zainteresować tak organizatorów, jak i publiczność przyzwyczajoną do pokazywanych tam głównie musicali, tak poważną, i dla wielu nowojorczyków egzotyczną tematyką?

Marek Probosz:

Takie cuda zdarzają się raz na 100 lat! Intuicja podpowiada mi, że wcielenie się w Pileckiego na Broadway'u było mi przeznaczone. Rotmistrz miał przemówić przeze mnie właśnie tego dnia na najsłynniejszej scenie teatralnej świata. W czasie negocjacji z dyрекcją uparłem się, aby światowa premiera miała miejsce właśnie w niedzielę, w Dzień Niepodległości Polski, w setną rocznicę jej odzyskania i w Dzień Amerykańskiego święta Weteranów. Zainteresowanie tym spektaklem przerosło moje oczekiwania. Jeszcze przed premierą krytyk z Broadway'u wybrał ze 130 prezentowanych monodramów *Ochotnika do Auschwitz* jako jedno z ośmiu przedstawień, których nie można przegapić! Spektakl był wyprzedany, a po jego zakończeniu porażona emocjonalnie publiczność płakała ze wzruszenia i nagradzała przedstawienie przez pięć minut owacjami na stojąco. Widać uniwersalni bohaterowie nie znają granic, a zapierająca dech w piersiach prawda o ich niezwykłych czynach i poświęceniu się dla ludzkości, działa wszędzie i zawsze.



Plakat przedstawienia w teatrze na Broadway'u.

Wcześniej zagrał Pan w filmie „Śmierć rotmistrza Pileckiego” w reżyserii Ryszarda Bugajskiego. Jak do tego doszło, że powstał monodram w języku angielskim?

Wszystko zaczęło się w 2005 roku kiedy Ryszard Bugajski przysłał mi do Los Angeles scenariusz z notatką “Znalazłem dla ciebie idealną rolę. Mam nadzieję, że nie powiesz NIE!” Po przeczytaniu byłem wstrząśnięty duchowym wymiarem mojego

bohatera. To jedna z najbardziej krystalicznych postaci w jaką przyszło mi się wcielić. Jeden z największych bohaterów XX wieku. Od 13 lat wędruję dookoła świata ze *Śmiercią rotmistrza Pileckiego* na festiwale, uniwersytety, do muzeów Holocaustu, konsulatów, ambasad, gdzie jako pierwszy ekranowy Pilecki spotykam się z publicznością. Po udziale w amerykańskim programie radiowym o Pileckim, *All Things Considered* dla stacji NPR News w Waszyngtonie, zostałem zaangażowany przez najpopularniejszą wytwórnę książek dźwiękowych w Stanach – *Audible.com*, do nagrania po angielsku dziesięciogodzinnej całości *Raportów Pileckiego z Auschwitz*. Nagranie otrzymało znakomite recenzje m.in. z *Washington Post* i jest teraz dostępne na całym świecie. Po premierze w 2013 r. w Los Angeles gram też na scenach Ameryki i Kanady spektakl po angielsku o Witoldzie Pileckim p.t. *Ochotnik do Auschwitz (The Auschwitz Volunteer)*. Teraz, w setną rocznicę odzyskania przez Polskę Niepodległości przyszedł czas, abym wyreżyserował o rotmistrzu monodram.



Marek Probosz jako rotmistrz Witold Pilecki w monodramie „Ochotnik do Auschwitz” na Broadway’u, fot. arch. Marka Probosza.



Marek Probosz jako rotmistrz Witold Pilecki w monodramie „Ochotnik do Auschwitz” na Broadway’u, fot. arch. Marka Probosza.

Czyli obecny monodram, 60 minut solo na scenie i wcielanie się we wszystkie postaci, nie tylko Pileckiego, to zupełnie coś innego. Spektakl oparty jest także na autentycznych raportach z Auschwitz, ale został też uzupełniony głosem narratorki (Terry Tegnazian) i archiwalnymi fotografiami. Proszę powiedzieć jak wyglądała inscenizacja i co powoduje tak emocjonalny odbiór tego przedstawienia?

Duży wpływ na tak wielki emocjonalny odbiór publiczności i

krytyków ma autentyzm wszystkich elementów przedstawienia. Nie tylko Pilecki zamieszkał we mnie, bo gram go od wielu lat w różnych formach i miejscach, ale spotkałem się również z jego rodziną, stałem się jego ambasadorem na świecie. Na Broadway'u zagrałem w oryginalnym wojskowy uniformie 2. Korpusu generała Andersa, który liczy prawie 80 lat. Taki nosił sam Pilecki!

Scenografia jest bardzo prosta i "uboga" – stół, krzesło, maszyna do pisania, lampka, karafka z wodą i ekran do wyświetlania archiwalnych zdjęć. Chciałem skupić uwagę widzów na tym, co najważniejsze, czyli na aktorze, jego słowie, ruchu i emocjach. Takie rozwiązanie sprawia, że spektakl ten mogę zagrać wszędzie, także w szkołach i w salach bez tradycyjnie rozumianych scen. Oświetlenie też nie jest rozbudowane, ani skomplikowane. Obrazy na ekranie puszczane są z projektora.

Tak, jak Pan powiedział, występuje Pan w autentycznym mundurze 2 korpusu generała Andersa, zresztą powiązanym z postacią, bo pożyczonym od pana Romana Liwaka mieszkającego w Orange County w Kalifornii, chrześniaka Marii Pileckiej - żony Witolda Pileckiego. Czy autentyzm tego kostiumu ma dla Pana duże znaczenie?

Przywiązuję wielką wagę do szczegółu, tak więc kostium miał dla mnie kolosalne znaczenie. Aktorzy japońskiego teatru No przed

wejściem na scenę wpatrują się przez godzinę w maskę, w której wystąpią, bo kiedy pojawiają się przed publicznością nie są już aktorami, ale stają się maską, postacią którą ona reprezentuje. Przed wyjściem na scenę przechodzę podobną metamorfozę. Na obu ramionach mam brytyjskie naszywki, COMMANDO - SPECIAL OPERATION; te naszywki nosiła włączona do 2. Korpusu 1. Samodzielna Kompania Komandosów, złożona z wyborowych żołnierzy, inteligentnych i świetnie wyszkolonych. Kompania dała się dobrze we znaki Niemcom podczas kampanii włoskiej 1944. To zobowiązuje. Energia munduru przechodzi na mnie, czuję jego wibrację. W mundurze 2 korpusu generała Andersa nie jestem już aktorem, zamieniam się w Pileckiego.



Marek Probosz jako rotmistrz Witold Pilecki w monodramie „Ochotnik do Auschwitz” na Broadway’u, fot. arch. Marka Probosza.

Wiem, że sztuka zdobyła wielki aplauz publiczności. Po premierze pisała do mnie nowojorska artystka, Basha Maryańska: *Poznaliśmy się bliżej z Markiem i Gosią Probosz po Marka znakomitym przedstawieniu na Broadway’u o rotmistrzu Pileckim! Miał długie owacje na stojąco! Byłam rada pomóc im moimi rekwizytami w scenografii, bo nic ze sobą z Los Angeles nie mogli przywieźć! Poszliśmy po tej niesłychanie mocnej i*

poruszającej wszystkie struny wrażliwości sztuce, na kolację na Time Square i mogliśmy wspaniale porozmawiać. Jakie jeszcze głosy publiczności do Pana dotarły, jak sztuka została odebrana przez wymagające nowojorskie środowisko teatromanów?

Amerykański krytyk z Broadway'u Austin Kaiser dał spektaklowi o Pileckim „SOLO 5 Stars Critics' Choice” – pięć gwiazdek! Przytaczam fragmenty prasowe kilku recenzentów:

- Pilecki był przykładem niewyobrażalnej dobroci w czasach niewyobrażalnego piekła (...). Pan Probosz zasługuje na najwyższe uznanie za to, że wstrząsnął Nowym Jorkiem, wzniecając swym głębokim, szczerym i zaangażowanym kunsztem aktorskim pamięć o jednym z najważniejszych bohaterów XX wieku.

- Kapitalna kreacja polskiego aktora. Jedyne, co mnie niepokoiło, to to, czy moje serce wytrzyma wszystkie napięcia, jakie w swojej inscenizacji stopniował autor i wykonawca. Obrazy obozu oświęcimskiego, perfekcyjnie adekwatna dynamika słów, całych fraz, czy też wielu zdań wyrzuconych, jak z żandarmskiego automatu robiła nieprawdopodobne wrażenie; mundur żołnierza z tamtych czasów, podkute buty, których tupot na “wrażliwych”

deskach teatralnej podłogi przenosił widzów w piekielną otchłań obozowych baraków; mimika twarzy i gra każdym nerwem, każdym centymetrem policzków, oczu; rozdygotane, drgające ręce, wszystko to tworzyło jednoosobowe, ale, jakże wielkie, pełne treści widowisko i ani na moment nie dopuszczało myśli, że brakuje tu wykonawców.

- Probosz ujmuje widza bez reszty pokazując stany psychiczne i wrażliwość Pileckiego. Imponuje skalą ekspresji, mówiąc o życiu w obozowej rzeczywistości. Publiczność słucha go z zapartym tchem. Sceny, kiedy Pilecki prowadzony jest na śmierć i sceny samej śmierci zilustrował Probosz ukazującymi się na ekranie fragmentami telewizyjno-filmowego przedstawienia Bugajskiego. Znakomicie zsynchronizował się z nimi na scenie. Jego gra jest wstrząsająca, ściskająca serce i zaciskająca gardło. Nie do zapomnienia! Widzowie zamierają w bezruchu, niektórzy płaczą. Efekt jest podwójny, bo oto widzimy jednocześnie przejmującą sztukę aktora i prawdę o granym przez niego bohaterze.

Jak Pan myśli, czy publiczność poza Nowym Jorkiem przyjmie ten spektakl jednego aktora z równie wielkim entuzjazmem?

Doświadczenie uczy, że dzieła uniwersalne i wielkie prawdy nie przemijają. Wystarczy jeden klasyk do nieśmiertelności. Kiedy oglądam filmy Chaplina nadal śmieję się do łez. "Umarła klasa" Kantora, nigdy się nie zestarzeje, to samo z Szekspirem, Mozartem czy Picassem. Mogą być kolejne mody, interpretacje, zmienia się publiczność, ale emocje, nasze pragnienia, marzenia, lęki pozostają zawsze te same. Myślę, że Pilecki urósł do roli klasyka kultury ludzkości, nie dziwi mnie fakt, kiedy na spotkaniach z publicznością poruszeni widzowie porównują go do Gandhiego, Spartakusa, Mandeli czy Chrystusa, on wszedł do panteonu ikon najszlachetniejszych wcieleń ludzkiego ducha. Może wciąż nie jest znany całemu światu, ale już jest nieśmiertelny. Nie obawiam się o brak entuzjazmu innej, mniej wyrobionej teatralnie publiczności. Pilecki przemawia do wszystkich bez względu na wiek, rasę, wyznanie, jest ponadczasowy.



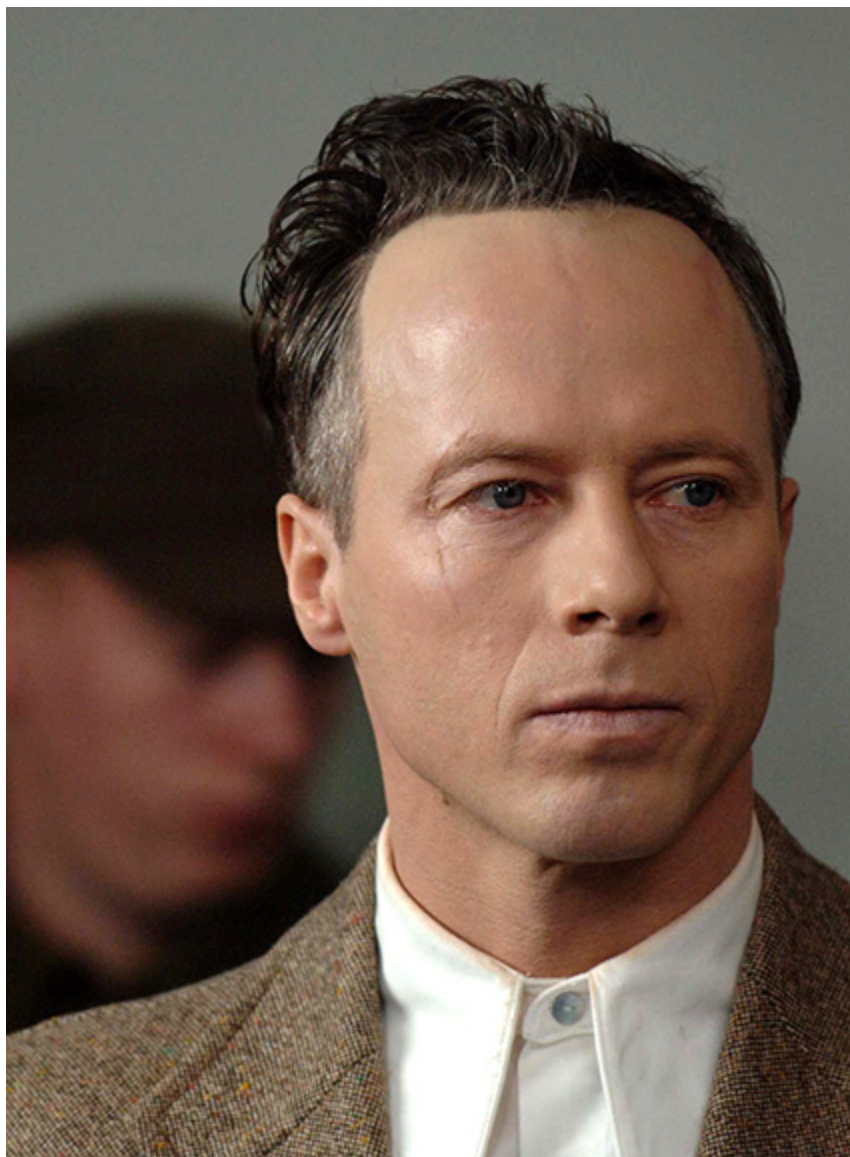
Marek Probosz jako laureat BEST DOCUMENTARY SHOW AWARD., podczas festiwalu jednego aktora United Solo, fot. arch. Marka Probosza.

Na trwającym 10 tygodni festiwalu jednego aktora United Solo zaprezentowano 130 monodramów z całego świata. Pan został laureatem nagrody za najlepszy spektakl w oparciu o dokument historyczny - BEST DOCUMENTARY SHOW AWARD. To wielki zaszczyt i radość dla nas Polaków. Czym dla Pana jest ta nagroda?

Zwycięstwo oznacza światowy prestiż, daje przepustkę do

elitarnego grona scenicznych profesjonalistów. Wystarczy spojrzeć na listę międzynarodowych gwiazd teatru i filmu, które otrzymały nagrody w przeciągu dziewięcioletniej historii festiwalu. Fakt, że zaproponowano mi poprowadzenie dwugodzinnej klasy mistrzowskiej z aktorstwa filmowego na Broadway'u w trakcie festiwalu, mówi sam za siebie. Znalazłem się wśród ikon światowej kultury, przede mną prowadziła tam klasę np. Olimpia Dukakis, zdobywczyni Oscara za rolę w filmie "Moonstruck".

Ale samą nagrodę dedykuję rotmistrzowi Pileckiemu, wszystkim poległym w walce o wolność i niepodległość. Jak pisał Norwid "Ojczyzna to wielki, zbiorowy obowiązek".



Marek Probosz jako rotmistrz Pilecki w Teatrze Telewizji według scenariusza i w reżyserii Ryszarda Bugajskiego p.t. „Śmierć Rotmistrza Pileckiego”, scena w sądzie.

Od mojego pierwszego pobytu w Los Angeles w 1998 roku zaczęła się moja wielka przyjaźń z Heleną Modrzejewską. Przeczytałam książki na jej temat, przestudiowałam dokumenty, zbieram pamiątki po niej. Mimo, że urodziła się w innej epoce, jest mi niezwykle bliska, wydaje mi się, że ją dobrze znam. Bolał mnie niepochlebne recenzje, na które czasem trafiam. Napisałam dwujęzyczną książkę o Modrzejewskiej „Co otrzymałam od Boga i ludzi”, mam

przygotowaną prelekcję z pokazem fotografii, plakatów, pamiątek i opowiadam o niej w wielu miejscach w USA i Kanadzie. Spotykam ciekawych ludzi, zdarza się wiele wspaniałych chwil, a ja jestem niezmiennie orędowniczką Modrzejewskiej, pokazując ją jako człowieka, a nie tylko ikonę z przeszłości. Czy dla Pana taką postacią, z którą się Pan zaprzyjaźnił, mimo, że nigdy nie poznał, jest rotmistrz Pilecki?

W swoim życiu artystycznym kilkakrotnie wcieliłem się w historyczne postaci, które w jakiś mistyczny sposób we mnie wrosły. Rotmistrz jest moim duchowym bratem i pewnie pójdę z nim już do grobu, ale stałem się również Romanem Polańskim w amerykańskim filmie "Helter Skelter" nakręconym dla Warner Bros. Na premierze reżyser John Gray powiedział mi: „Mam dla ciebie największy aktorski komplement. Kiedy pokazywałem studentom reżyserii w USC twoją scenę z konferencji prasowej, zapytali mnie jak udało mi się zdobyć prawa do tych dokumentalnych materiałów z Polańskim po zamordowaniu jego żony Sharon Tate przez bandę Mansona? Uwierzyli, że to nie aktor tylko Polański!” W przypadku historycznych ról przestaję być sobą i staję się graną postacią. To bardzo skomplikowany i głęboki proces. Tak było z Pileckim i Polańskim, za zagranie którego otrzymałem świetne recenzje z „The New York Times”, „Hollywood Reporter” czy „Variety”.



Marek Probosz jako Roman Polański w filmie "Helter Skelter", fot. arch. Marka Probosza.



Marek Probosz jako Roman Polański w filmie "Helter Skelter", fot. arch. Marka Probosza.

A rotmistrz Pilecki wciąż polepsza mnie jako człowieka, powiększa mój czakram serca. Podróżując z nim przez świat, przekazując dalej jego ideały dokonuje tego samego z ludźmi, których na swojej drodze spotykam. A są ich już "miliony". Konrad w III części dramatu "Dziady" Adama Mickiewicza powiedział: *Nazywam się Milijon – bo za miliony kocham i cierpię katusze.*

Pamiętam, jak Pan pięknie powiedział podczas odbierania statuetki "Oscara" Polonii - Złotej Sowy za krzewienie polskiej kultury poza krajem w Polskiej Akademii Nauk w

Wiedniu w 2018 r. o swoim dziadku, Jerzym Proboszu, poecie i dramaturgu z Beskidów, Laureacie Wawrzyna Literackiego w 1938 roku, który podczas aresztowania przez Niemców w 1939 roku, zdążył na skrawku papieru zapisać, przesłanie, zachowane przez Pana tatę: *Życzę ci z serca mocy, abys co dzień i w nocy/ Wytrwał! Wytrwał!! Wytrwał!!! / Choćbyś miał ziemskie ciało w proch spalić / Musisz ducha ocalić*. Słuchając tych słów, ukradkiem ocierałam łzy. Czy postać Witolda Pileckiego łączy historię również i Pana rodziny ze współczesnością, niosąc uniwersalne przesłanie?

Mam wrażenie, że współczesny świat cierpi na wielką inflację prawdziwych bohaterów. Mój dziadek Jerzy i rotmistrz Pilecki są dowodem na to, że można zamordować człowieka, unicestwić jego ciało, ale nie można powstrzymać jego ducha. Moc i niezłomność bohaterów przelewają się na kolejne pokolenia. Nawet jeśli dotyczy to tylko jednostek. Jestem profesorem adiunktem na uniwersytecie UCLA, gdzie przekazuję swoją wiedzę i doświadczenie młodzieży z całego świata. To dla mnie wielka odpowiedzialność, dająca mi dużo satysfakcji. Robię to od 20 lat i mam już kilka tysięcy wychowanków. Dla wielu z nich jestem mentorem. W ostatnich latach studenci ufundowali mi symboliczną statuetkę Oscara *Dla najlepszego nauczyciela na świecie*. To dla mnie bezcenne. Możliwość dawania z siebie młodym tego, co w nas najlepsze, to misja pedagoga i jego

obowiązek.

Czy uważa Pan, że spektakl o rotmistrzu Pileckim spełnia rolę edukacyjną?

Jak najbardziej. W Phoenix w Arizonie grałem spektakl o Pileckim dla 1500 uczniów szkół średnich, reakcja młodzieży po przedstawieniu była powalająca, tym bardziej, że Żydowskie Centrum Edukacji o Holocauście ściągnęło dźwigami ze swojego muzeum przed główne wejście do *Chandler Center for the Arts* autentyczny bydlęcy wagon, którym w czasie wojny transportowano więźniów do obozów. Nauczyciele przed wejściem do teatru przeprowadzili młodzież przez wnętrze wagonu objaśniając im do czego służył.

W Nowym Jorku, w polskiej szkole na Brooklinie zagrałem monodram dla około setki licealistów; żona Gosia opisywała mi potem ich reakcje: *na początku kręcenie się, szepty, chichoty, rozglądanie się, a potem – „wgniecenie w krzesła”*. – *Spoważnieli, zaległa cisza. Po spektaklu, gdy zapaliło się światło, zauważyłam silnie zarumienione twarze, łzy, szloch dziewczyny, która dopiero kiedy ją przytuliłeś zaczęła się uspokajać. Ona akurat była w muzeum w Auschwitz, więc widziała na własne oczy, co ludziom zgotowali ludzie, podczas spektaklu cały czas widziała w tobie Pileckiego*. Po przedstawieniu były bardzo ciekawe pytania, co niektórzy młodzi opowiadali o swoich dziadkach i pradziadkach,

którzy też walczyli podczas wojny. Na koniec poprosiłem chłopców, by wstali, i nauczyłem ich, jak się salutuje w Wojsku Polskim. Boże, co to był za moment, jak za trzecim razem ci młodzi jak jeden mąż się wyprężyli i ryknęli z głębi serc: *Ku chwale ojczyzny, rotmistrzu Pilecki!* I tak nasz niesamowity bohater doczekał się pięknej chwili!

Co dla Pana, który wcielił się w tę niezwykłą postać, oznacza słowo patriotyzm?

Wolność zawsze była dla mnie najwyższą wartością. To była cena, którą zapłaciłem za emigrację. Jestem patriotą, jeśli to słowo oznacza wolność i służy walce o nią. Tak mnie wychowano i te wartości przekazuję na emigracji swoim dzieciom. One znają polską historię, swoich przodków i mówią płynnie po polsku. Sam czuję się jak Odyseusz, którego zagrałem na scenie w Los Angeles, bo jak on stoję na dziobie swojego statku w drodze do Itaki. Wiem jednak, że jeśli dobieję do jej brzegu i nie okaże się ona być podróżą, to popłynę dalej, bo moją ojczyzną jest podróż i wolność. A Polskę zawsze będę miał w sercu.



Marek Probosz z żoną Gosią i dziećmi, fot. arch. Marka Probosza.

Złote Sowy Polonii - Wiedeń 2018 r.

<http://www.cultureave.com/zlote-sowy-polonii-wieden-2018-r/>

Historia w karetach zaklęta

**Rozmowa z Teresą Fabijańską-Żurawską, wieloletnim
kustoszem Powozowni Zamkowej w Łąncucie.**



Teresa Żurawska w Łańcucie.

Z panią Teresą Żurawską przyjaźnię się od wielu lat. Zaczęło się od rozmów ze starszymi osobami w mojej rodzinie, słuchania z zapartym tchem opowieści o dawnym obyczaju, balach, polowaniach, sportach, zjazdach rodzinnych i bytności różnych znanych, historycznych postaci w domu mojego dziadka. Tego świata już nie było koło mnie. Były bloki, podwórko, piaskownica, „babie górki”, było ślicznie i zielono, ale gdzie te sanie, powozy,

długie suknie i rytuał picia herbaty punktualnie o 16.00. Próbowałam odszukać ten zaginiony świat na starych pocztówkach. Uzbierała mi się niemała kolekcja. Poprzez pocztówki dotarłam do Łańcuta i autorki książki o obyczajach związanych z pojazdami konnymi z łańcuckiej kolekcji. Książka była pożyczona z biblioteki, ale żał było mi się z nią rozstać, więc ją całą przepisałam. Chodziłam wtedy do 4 klasy szkoły podstawowej. Po informacji o odkryciu przez Teresę Żurawską - kustosza Powozowni, słynnej ambony z Radacza, zbudowanej z części karet Sobieskiego, o czym było głośno w prasie, odważyłam się napisać list do Łańcuta. Zaczynał się od słów: „Mam 10 lat, chodzę do 4 klasy...”. Jakież było moje zdziwienie, gdy bardzo szybko dostałam poważną odpowiedź. Zaczęła się długoletnia korespondencja i przyjaźń. W Łańcucie odnalazłam świat sztuki, kultury, dawnych obyczajów. I poznałam bliżej panią Teresę, wspaniałego człowieka, który ma tak wielki wkład w tworzenie naszej kultury i reprezentowanie Polski na zewnątrz kraju, tak wielki dorobek pisarski, a jednocześnie tyle ciepła, stylu, elegancji, urody zewnętrznej i urody ducha. Jest to prawdziwa pani na Łańcucie.

Joanna Sokołowska-Gwizdka

Joanna Sokołowska-Gwizdka:

Ta wielka kolekcja powozów w Łańcucie, jedna z największych w Europie, jest w jakimś stopniu i pani dziełem. Jak do tego doszło, że pani, absolwentka KUL-u zajęła się historią pojazdów konnych i przyczyniła się pani do stworzenia nowej gałęzi historii sztuki?

Teresa Żurawska:

Oboje z mężem, Jerzym Żurawskim, przybyliśmy do Łańcuta w 1963 r. na usilne prośby ówczesnego dyrektora Muzeum-Zamku w Łańcucie, Antoniego Dudy-Dziewierza, wspaniałego człowieka, działacza i ideowca z przedwojennego PPS-u. Mąż został głównym kustoszem w randze wicedyrektora do spraw naukowych. Oboje mieliśmy już mały staż pracy w Olsztynie, zaraz po studiach zatrudnieni do misji kulturalnej, której nadano tajemniczą i brzmiącą konspiracyjnie nazwę „AKCJA 666”. Chodziło o rejestrowanie opisem, fotografią oraz danymi administracyjnymi, obiektów architektury zabytkowej, tak świeckiej, jak i sakralnej na Warmii i Mazurach. Jako historycy sztuki jeździliśmy po wypalonych, zrujnowanych miasteczkach, zniszczonych nie na skutek działań wojennych, lecz z rozkazu Stalina, by nie oddać tego, co ocalało po wojnie i miało w nowym podziale terytorialnym Europy przypaść Polsce. Akcja trwała trzy lata i nagle została przerwana, choć nie zakończona. Straciliśmy pracę i to oboje. Na świecie był już nasz syn Wrzesław. Trzeba

było szukać zarobku.

Przypadek sprawił, że w podróży do moich rodziców, którzy mieszkali w Zamościu, spotkaliśmy konserwatora wojewódzkiego z Rzeszowa. W rozmowie padła konkretna propozycja etatu w Urzędzie Wojewódzkim w Rzeszowie na stanowisku z-cy konserwatora. Bez zastanowienia przyjęliśmy tę możliwość jako szansę. W Rzeszowie upłynęły nam kolejne lata: ciekawy teren dużego wojewódzkiego miasta, dość zaniedbanego, ale bogatego w piękne obiekty architektury renesansowej, barokowej, drewnianej. Zaczęłam pracę w Muzeum Okręgowym i nawet miałam publikacje naukowe i popularne, z zakresu malarstwa i wystaw artystycznych, zorganizowałam znaczącą wystawę i całkiem dobrze się czułam w kręgu ludzi kultury rzeszowskiego środowiska. Jednak nasz syn zaczął w przedszkolu chorować i to zadecydowało o podjęciu decyzji przeniesienia się do Łańcuta.



Teresa Żurawska przed zamkiem w Łańcutie.

Miejsce pracy zachwycające, ale ileż tam było do zrobienia! Trzeba było wszystko, prawie od początku zorganizować, aby stworzyć z Łańcuta placówkę naukową promieniującą na całe południe Polski i nie tylko. Wieść o Zamku i Powozowni słynącej z najwspanialszej kolekcji pojazdów konnych szybko się rozprzestrzeniła. Do Łańcuta przybywały tłumy ludzi. Urządzano sesje naukowe, seminaria, odczyty, zjazdy i koncerty. Życie kulturalne kwitło, a my mieliśmy coraz mniej pracy. Nowy statut muzeum przewidywał podział ogromnego terytorialnie i merytorycznie zespołu na odpowiedzialne, samodzielne działy. Wyodrębniono również Dział Pojazdów Konnych, obejmujący dwa budynki ekspozycyjne, a w nich pojazdy, uprząże, akcesoria i

wszystko to, co wiąże się z kulturą i obyczajem i jest ściśle związane z koniem. Moją ambicją było stworzenie ośrodka wiedzy na temat historii pojazdu zaprzęgowego, by służyć ludziom kultury informacjami, ikonografią, zasobem biblioteki specjalistycznej. W Łańcucie były wzory, perły, z których można czerpać wiedzę i do filmu, i do literatury, uczyć się obyczaju i elegancji. Przymuszona przez dyrektora do objęcia funkcji kustosza w tym dziale, zaczęłam uczyć się sama. Pomogły mi w tym wyjazdy na stypendia do Francji, Włoch, liczne podróże prywatne i popierane przez Ministra Kultury i Sztuki, udział w międzynarodowych zjazdach i wreszcie długoletnia przynależność do Międzynarodowego Stowarzyszenia Muzeum Transportu /IATM/ przy wielkiej międzynarodowej organizacji muzeów /ICOM/. Brałam w nich czynny udział, wygłaszałam referaty, zawsze na tematy polskie, jako przedstawicielka naszego kraju.



Widok na kolekcję pojazdów konnych w Łańcuckiej Powozowni.

Powozy, to też ludzie, ich życie i obyczaje. Jakie tajemnice kryje Łańcucka Powozownia?

Łańcucka Powozownia jest właściwie nieporównywalna z żadnym innym zbiorem na świecie, gdyż jest jedyną całkowicie zachowaną powozownią zamkową, rezydencjonalną, stworzoną ponad 100 lat temu.

Najwyższej klasy artystycznej, bo tak trzeba określić to rzemiosło, karety, powozy, breki i każdy inny pojazd kryją wiele tajemnic. Tymi skrywanymi wewnątrz są np. ukryte nazwiska

twórców. W przypadku karety galowej Berlina jest to wiedeński siodlarz Karasch i karetnik Marker, a na stopniach stangreckich znajduje się dobrze zakamuflowana data „1830”. Odnajdywanie takich tajemnic jest wielką radością. Są też zagadki, których nie udało się rozwiązać do dzisiaj, gdyż odległość czasowa nie uruchamia naszej wyobraźni w sposób wystarczający. Furgon bagażowy z około połowy XIX w. zaskakuje małymi urządzeniami w podwoziu i nie wiemy do czego służyły. Czasem wewnątrz karety całkiem młodej, bo zaledwie stuletniej, znajdują się uchwyty trudne do zidentyfikowania. Są schowki, jakieś skomplikowane „skrzyneczki” nie wiadomo w jakim celu wmontowane itd. Na koczku gdańskim inicjały umieszczone na drzwiczkach, ułożone w ornament pod koroną nie zostały odczytane. Na szczęście herb rodziny szlacheckiej Faustów, która na prawdę istniała i występuje w „Błękitnym Almanachu”, został przeze mnie odczytany i znaleziony w starym, niemieckim herbarzu z 1654 r. Co to za radość po wielu miesiącach usilnych poszukiwań!

Sensacją w świecie nauki było odkrycie i udowodnienie, że ambona w małym kościółku w Radaczu koło Słupska, wykonana została z części karet Jana III Sobieskiego. Zrekonstruowane karety pokazane zostały w 2003 roku na wystawie w Wilanowie z okazji 320 rocznicy zwycięstwa pod Wiedniem. Czy uważa Pani to znalezisko za największe swoje odkrycie, czy były też inne równie ważne?

Czasem zdarza się, że praca historyka sztuki, na ogół żmudna i monotonna, przeobrazi się wielką życiową przygodę. Tak było z rozszyfrowaniem ambony z Radacza, którą zrobiono w 1742 roku z trzech karet – dwóch króla Jana III Sobieskiego i jednej Marii Kazimiery, królowej, żony Jana.

W Wilanowie, na wystawie w 2003 roku pokazano, jaki miały kształt, wielkość, jak były zrobione i co znaczyły metafory, alegorie i symbole barokowe w ich dekoracji malarskiej i rzeźbiarskiej. To dzieła sztuki jeżdżące na złotych kołach. Rozszyfrowanie tego metajęzyka zajęło mi sporo czasu, ale też dało mi możliwość, zagłębienia się w historię, ceremoniał dworski, obyczaje epoki. Uważam, że było to moją życiową misją, aby Polsce oddać trzy królewskie, paradne karety najbardziej kochanego króla.



Wizyta Mieczysławy Ćwiklińskiej w Łańcucie w 1968 roku. Od lewej: M. Ćwiklińska, A. Grzybowski, T. Żurawska, red. Radomiński.

Kto ze znanych, sławnych i ciekawych ludzi, którzy odwiedzili Powozownię, najbardziej utkwił Pani w pamięci?

W Łańcucie jestem ponad 50 lat, z tego 30 pracowałam na rzecz Zamku i Powozowni. Przede wszystkim opracowałam zbiory, powiększałam je, zbierałam książki z zakresu historii pojazdów konnych, sama pisałam książki i artykuły, ale w moich czasach Zamek był tak popularny, że zjeżdżało doń mnóstwo ludzi wielkich i sławnych. Koronowane głowy, ambasadorowie, ludzie pióra, teatru, filmu i telewizji. Pamiętam wizytę Wielkiej Księżnej Luksemburga, której towarzyszyłam podczas zwiedzania zamku.

Przyjechał z nią cały dwór i co mnie zdziwiło, najbardziej słyszeć było język polski, bo damy dworu to księżne i księżniczki Polki – Sapieżyny i Sapieżanki. Oprowadzałam też belgijskiego następcę tronu – księcia Filipa w towarzystwie ambasadora Belgii w Polsce, wysokiego arystokraty. Miałam zaszczyt oprowadzać naszego prymasa, ks. kardynała Józefa Glempa. Było bardzo zabawnie, bo Jego Eminencję wpakowaliśmy do karety generała Piotra Szembeka z XIX w. Z aktorów najmilej wspominam Aleksandrę Ślaską, a z reżyserów Janusza Majewskiego. Nigdy nie zapomnę rozmowy z Marią Kuncewiczową, czy z Jerzym Waldorfem. Z zagranicznych gości świata artystycznego wspomnę piękną Juliette Greco. Nie sposób wymienić tu choćby połowy. Na prawdę było wiele osób wspaniałych.

Łańcut przechodził różne okresy. Była Pani świadkiem przyjazdów Cyrankiewicza, Hermaszewskiego, potem przyjeżdżali państwo Potoccy z Peru, prawowici spadkobiercy zamku. Jak wspomina pani tamte czasy?

Państwo Potoccy ożywili Łańcut po latach stanu wojennego i przemian, podczas których miejsce to, jakby straciło na popularności. Zamek znów zaczął rozbrzmiewać muzyką kameralną, odbywały się przyjęcia dla kilkudziesięciu osób. Zjeżdżała na nie arystokracja polska, francuska, hiszpańska, dyplomatyczne osobistości z krajów latynoskich i rodzina Potockich ze wszystkich żyjących jeszcze linii. Myślę, że nawet

przed wojną nie było tak licznych zjazdów i o takiej wysokiej randze społecznej, tyle książąt, hrabiów. Zaczęło się od ślubu Rosy i Stanisława Potockich z Peru, którzy właśnie w Łańcucie zapragnęli związać się węzłem małżeńskim. Nawet kaplicę zamkową na tę okazję ksiądz proboszcz specjalnie wyświęcił. No i to, co stało się ważne dla historii Łańcuta, w 2001 roku Państwo Potoccy z pomocą wielu osób zorganizowali uroczysty, z wojskowymi honorami pogrzeb ostatnich właścicieli: Elżbiety z Radziwiłłów Romanowej Potockiej, ich dwóch synów Alfreda – ostatniego ordynata i Jerzego, adiutanta marszałka Józefa Piłsudskiego, później ambasadora Polski przedwojennej w Turcji i w Stanach Zjednoczonych wraz z żoną Susaną Ytterregui, Peruwianką. Te cztery osoby były pochowane we wspólnym grobowcu w Lozannie (Szwajcaria). Teraz znajdują się w mauzoleum rodowym pod prezbiterium kościoła farnego w Łańcucie.



Teresa Żurawska z synem Wrzesławem Żurawskim (który zaprojektował m.in. winietę magazynu „Culture Avenue”).

Żyjąc w takim miejscu jak Łańcut, bogatym w tradycje, a jednocześnie mając szeroki kontakt ze światem, (miała pani szereg wystąpień naukowych zarówno w Europie, jak i w Ameryce, jest pani autorką wielu poszukiwanych książek), czy rzeczywiście trzeba pokazywać Europie, nasze bogactwo kulturowe, gdyż wiele lat myślano o nas, że żyjemy daleko od centrum kultury, a takie miejsce, jak Łańcut położone jest pośród stepów, na kulturowej pustyni?

U naszych zachodnich sąsiadów dość powszechnie utrwalił się

wizerunek Polski, jako kraju pozbawionego kultury, nieciekawego, uważano, że „na wschód od Łaby nic nie ma”. I oto jakże daleko na wschód od Łaby istnieje taki zamek w Łańcucie i jeszcze dalej Krasieczyn, a w międzyczasie tyle prześlicznych zabytkowych kościołów, murowanych i drewnianych katolickich i prawosławnych. Nie mówiąc już o dworach i pałacach jeszcze dość licznych. Zdziwienie wtedy jest wielkie.

Czy gdyby jeszcze raz kończyła Pani studia, wybrałaby Pani Łańcut, jako swoje życiowe miejsce? Czy Łańcut jest dla Pani tym wymarzonym domem?

Łańcut dla mnie był wynikiem sytuacji życiowej, o której wspomniałam na początku, ale przyznać muszę, że to miejsce jest szczególne i szalenie inspirujące, niezwykle poszerzające wiedzę, bo trzeba znać się po trosze na wszystkim. Opanować trzeba historię Polski i Europy, w dużym zakresie genealogię, obyczaje i ogólnie kulturę, nie mówiąc już o historii sztuki, zwłaszcza czasów nowożytnych. Teraz już bym Łańcuta nie zdradziła, tyle tu mojego trudu, nieprzespanych nocy, przepracowanych dni i wieczorów, tyle emocji, eksploatowanej energii, tyle przyjaźni, spacerów i oddychania pięknem. Jeździłam w świat, ale świat też przyjeżdżał do Łańcuta i do mnie osobiście, zresztą przyjeżdża do dzisiaj. Wiele, nie wstydzę się tej megalomanii, eksponatów i książek przybyło tu za moim

pośrednictwem. Cała druga kolekcja pojazdów konnych, uratowanych od zagłady lub wywiezienia. Przez to wszystko Łącut stał się moim Łącutem. Czy wymarzone? – Nie wiem, nie miałam takich konkretnych marzeń, ale stał się nim z pewnością.



Babunia, Maria Joanna Anzelmowa z Moszyńskich De Schmieden Kowalska z córkami. Siedząca (bez torebki) matka Teresy Żurawskiej.

A jaki był Pani dom rodzinny, dwór w Czumowie, dom w Zamościu, ojciec, który wrócił pieszo z obozu oficerskiego we Francji do domu, do rodziny? Czy miłość do piękna, ideały, wartości, wszystko co jest w pani i czym pani emanuje, dając innym tak wiele, było w Pani domu?

W Zamościu był dom rodzinny, w którym urodziłam się i ja i mój syn. Do śmierci Taty w 1972 był moim azylem. Drewniany, niezbyt duży, z gankiem oszklonym i werandą od południa, położony wśród ogrodów, z dala od ulicy, przypominał z wyglądu i z obyczajów w nim panujących dwór polski.

Pielęgnowało się wszystkie tradycje świąteczne, katolickie i patriotyczne, chociaż po wojnie zakazane. Ciepło moich kochających rodziców (przeżyli 49 lat we wzorowej wprost harmonii), gościnność, atmosfera życzliwości, spokój ducha i równowagi psychicznej, były skarbami, które otrzymałam na całe życie, jako fundament mocny i niepodważalny. Jeszcze kilka lat po wojnie była z nami babunia, matka mojego ojca, jak zwykł był o niej mówić „Mateńka”. Kto dziś tak nazywa swoją matkę? A to takie piękne. Mówimy tak modląc się, upraszając o łaskę, ale do Matki Bożej. Myśmy to mieli w codziennych rozmowach przy stole, który jednoczył nas dwa razy dziennie – na obiad i na kolację, czasem był jeszcze czas na podwieczorek.

Jestem z czworga rodzeństwa, była więc z nas siedmioosobowa

rodzina. Ojciec przez 6 lat był w niewoli. Najpierw pojmany we wrześniu z 17/ 18 pod Równem wraz z całym taborem polskim. Zapakowali żołnierzy do bydłych wagonów i wozili po terenie południowej Rosji, aż po Ural, dając raz dziennie kubek kawy i kromkę spleśniałego chleba. Spali na mokrych liściach. Ta wędrówka bez celu trwała 7 tygodni. Przy wymianie jeńców (Sowieci z Niemcami), oddano Polaków do niewoli niemieckiej. Mój ojciec znalazł się wtedy w obozie międzynarodowym w miejscowości Oschatz w Saksonii. Ciężkie to były lata, wielu nie przeżyło, wielu zachorowało psychicznie. Mój ojciec, rezerwista, już nie młody (miał 40 lat, gdy wybuchła wojna), był bardzo schorowany, cierpiący na bóle stawowe. Jednak wytrzymał i postanowił wrócić do rodziny, bo tak pojmował swój obowiązek wobec społeczeństwa i państwa. Chodził w jednym ubraniu jakie miał, amerykańskim mundurze oficerskim. Na pewno nie ułatwiło mu to życia w pracy.



Pałac w Czumowie.

Czumów – dwór, a właściwie pałac z wysoką wieżą, jest do dzisiaj najjaśniejszym promyczkiem w moim dzieciństwie. Najlepiej pamiętam ostatnie długie wakacje 1939 r. Nasze zabawy ze starszym bratem i wyprawy, trochę tajemnicze, trochę zakazane np. na ową wieżę, gdzie gnieździły się sowy i kawki. Grzebanie w starych papierach, odkrywanie schowków, wyprawy po miód trzmieli i asystowanie przy lokomobili, a potem jazda na workach pełnych pszenicy do spichlerza. To była jeszcze większa frajda, niż zjeżdżanie ze sterty słomy. Radość nasza zakończyła się nawałnicą wojenną. Pamiętam panikę ludzi, gorączkowe rozmowy, przyjmowanie uciekinierów z poznańskiego i z

Warszawy. Wszędzie tłok. Wreszcie zapadła decyzja i babcia z mamą postanowiły uciekać za Bug, gdzie mieliśmy rodzinę ze strony ojca. Bryczka mało pojemna i furka z jednym woźnicą, który zechciał jechać z nami wyruszyły ostatnim promem przez Bug w kierunku Uściługa i Włodzimierza Wołyńskiego. Nigdy nie zapomnę widoku tłumów na drodze. Nie dało się jechać. Świetnie przedstawił tę scenę znakomity pan Antczak w filmie „Noce i dnie”. On pochodzi z Włodzimierza, sądzę więc, że widział to, co działo się na tych ziemiach Wołynia we wrześniu 1939 roku. To tak wyglądało w rzeczywistości. We mnie te obrazy wędrówki, pola po bitwie, palącego się samolotu, świst i warkot maszyn w powietrzu walczących myśliwców, strzelanina i wybuchy pozostały i w oczach i w uszach.

Na długie lata przyćmiły je wydarzenia, które przyniosły lata powojenne. Myślę, że oglądanie od dziecka albumów z kolorowymi widokówkami Kossaków, Andriollego, reprodukcji malarstwa Młodej Polski, które Mama zbierała i pozwalała nam oglądać, zwłaszcza podczas choroby, również encyklopedia Guttenberga, z barwnymi tablicami, oczywiście czasopisma o słodkich obrazkach, może nawet ckliwych, miały ogromny wpływ na kształtowanie się zainteresowań i umiłowań. Trochę wzięłam z genami Babci, z domu Moszyńskiej, która miała rzadkie poczucie estetyki na każdym kroku, wszędzie w najmniejszym drobiazgu. No i ta babcina, słynna już elegancja, nienaganny żabot, zapinka złota lub kamea, staranne uczesanie jeszcze z

epoki *fin de siècle'u*, przytrzymane ogromnymi szpilami. To była prawdziwa i ostatnia dama w naszej rodzinie. Takie kobiety potrafiły prowadzić piękny dom.

Co chciałaby Pani najcenniejszego przekazać swoim wnukom?

Chciałabym, aby moje wnuki, a mam ich czworo, były szlachetne wewnątrz, umiały odróżnić dobro od zła i kierować się dobrem, uczciwością, prawością. Chciałabym, żeby były nie tylko piękne z urody, ale i też piękne z wnętrza. Umiały być czułymi, współczującymi, rozumiejącymi i kochającymi. To chyba najważniejsze, no i szanowały swoje korzenie, tak rodzinne, jak i historyczne.

TERESA ZOFIA FABIAŃSKA-ŻURAWSKA *ur. 30 września 1932 r. w Zamościu, w Polsce, emerytowany starszy kustosz Muzeum-Zamku w Łańcucie, jest historykiem sztuki ze specjalnością w dziedzinie pojazdów konnych. W 1956 r. ukończyła studia Historii Sztuki na Wydziale Humanistycznym Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego /KUL/ otrzymując tytuł magistra. Doktoryzowała się w Warszawie w Instytucie Sztuki Polskiej Akademii Nauk uzyskując tytuł doktora nauk humanistycznych w 1982 r. W latach 1963-1994 pracowała w*

Muzeum-Zamku w Łańcucie kierując Działem Pojazdów Konnych. W latach 1984-1987 wykładała na Katolickim Uniwersytecie w Lublinie. Były to wykłady monograficzne z zakresu historii pojazdu zaprzęgowego, jego miejsca w kulturze, sztuce i obyczajach. Słuchaczami byli studenci Historii Sztuki - III-V roku studiów. Podczas wielu lat pracy w Muzeum organizowała wystawy na terenie Polski i w samym Łańcucie, prowadziła działalność popularyzatorską i dydaktyczną. Napisała i opublikowała 36 książek i artykułów związanych z dziedziną pojazdów konnych, innych publikacji ponad 100. Od 1965-1993 roku brała czynny udział w konferencjach Międzynarodowego Stowarzyszenia Muzeów Transportu /IATM/ przy ICOM /International Council of Museums/ reprezentując Polskę i Łańcut, wygłaszając referaty o polskich zbiorach muzealnych, problemach konserwatorskich dotyczących różnych eksponatów np. kolaski polskiej z XVIII w., na temat rekonstrukcji karet Jana III Sobieskiego i w pracach dydaktycznych w muzeach. Wszystkie wygłoszone referaty zostały opublikowane w roczniku Stowarzyszenia IATM pt. „The transport Museums”, miejsca gdzie odbyły się te konferencje to: Budapeszt, Frankfurt/M, Paryż, Praga, Waszyngton. Dla pogłębienia wiedzy wyjeżdżała na stypendia do Francji, Portugalii, Włoch oraz do Belgii, Holandii, Anglii, Niemiec, Austrii, Szwajcarii, Danii, Szwecji, USA, Rosji, do Czech i na Węgry, służbowo lub prywatnie, zapoznając się tam z muzeami państwowymi i kolekcjami prywatnymi dotyczącymi pojazdów konnych, obyczajów i etykiety dworskiej i

dyplomatycznej. W Paryżu, pod patronatem Sorbony odbywała badania i poszukiwania archiwalne, poznawała kolekcje i biblioteki m.in. słynne zbiory „Hermesa” przy Faubourg St. Honore i Compliegne poza Paryżem. Stale kontynuuje kontakty profesjonalne, publikuje, opracowuje i popularyzuje.

Kartki z życia filmowca. Michał D. Adamski.



Michał D. Adamski.

Joanna Sokołowska-Gwizdka:

Jest pan filmowcem-pasjonatem. Widać to w pana filmach, w bogactwie ich treści, w chęci utrwalenia zjawisk ważnych i często niepowtarzalnych, w rzetelnej dokumentacji historycznej. Skąd u pana ta wielka pasja, której jest pan wierny już ponad 30 lat?

Michał D. Adamski:

Myślę, że przyczyn tej pasji należy się doszukać we wszystkim,

co przeżyłem podczas II wojny światowej i po wojnie. Muszę o tym szerzej opowiedzieć.

Moje dzieciństwo w Sieradzu i formalną edukację przerwała wojna w 1939 roku. W wieku trzynastu lat, parę dni przed Wielkanocą 1942 roku, zostaliśmy wraz z całą rodziną deportowani przez żołnierzy niemieckich z rodzinnego domu i wywiezieni do niewolniczej pracy w Niemczech. Zmuszony byłem do ciężkiej pracy jako dorosły, wśród obcych, zdany nieraz na kaprysy okrutnych niemieckich majstrów i wciąż niedożywiony. Pracowałem najpierw u niemieckiego bauera, po sezonie letnim przy karczowaniu lasu w górach Hartzu, a potem ostatecznie przeniesiony zostałem do fabryki w Sangerhausen w Saksonii. Moją walkę o przetrwanie fizyczne umilałem sobie snuciem fantastycznych marzeń, co będę robił po wyzwoleniu, gdy Niemcy przegrają wojnę, a ja powrócę do domu w Sieradzu w wolnej Polsce.

12 czy 13 kwietnia 1945 roku przyszło wyzwolenie, do Sangerhausen wkroczyły wojska amerykańskie. Ale radość nas – wyzwolonych z obozów niewolniczej pracy i obozów koncentracyjnych, była niestety krótkotrwała. Ponieważ po latach przerwy wznowiony został dostęp do komunikatów radiowych i polskich programów BBC, zaszokowała nas podawana tam wiadomość: Polskę “wyzwoli” Sowieci. W kraju trwają aresztowania AK-owców, bezsilnie protestuje prawowity

Rząd Polski w Londynie. Wkrótce ma być uznany przez naszych zachodnich sprzymierzeńców, Anglię i Stany Zjednoczone – Ludowy Rząd Jedności Narodowej – kukiełkowy twór Stalina. Przyjeliśmy to jak nową Sowiecką okupację Polski. Wobec tego większość z nas – wyzwolonych z obozów i uwolnionych od niewolniczej pracy w Niemczech, doświadczonych przez ostatnie 5 lat prześladowaniami pod okupacją totalitarnych rządów hitlerowskich Niemiec, mając w perspektywie niemniej okrutną, okupację stalinowskiej Rosji, zdecydowała się nie wracać do Ludowej Polski. Podobnie zdecydowano we Włoszech lub Anglii, wielu żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, teraz już niepotrzebnych sprzymierzeńcom i zdemobilizowanych.

Nazwani uchodźcami, osobami bez kraju, zgromadzeni w wielkich obozach D.P. (czyli obozów dla **dipisów** od ang. *displaced persons* – osoby przemieszczone , przyp. red.) , zostajemy w zachodnich Niemczech. Większość z nas wegetuje przez parę lat. Niektórzy zmuszeni beznadziejnością życia i brakiem perspektyw wrócili do “bierutowskiej Polski”. Jednak ja, wraz z szeregiem innych młodych osób, którzy znaleźli się w podobnej sytuacji, wykorzystujemy ten czas, aby wrócić do szkoły. Na terenie obozu D.P. Durzyn-Wildflecken w Bawarii w przyspieszonym tempie zrobiłem kilka klas gimnazjum. Po roku wyjechałem do Esslingen, k. Stuttgartu, gdzie w budynku miejscowej niemieckiej Politechniki od października 1945 roku zaczęła działać Polska Wyższa Szkoła Techniczna,

zorganizowana przez wyzwolonych z niemieckich obozów polskich naukowców. Zostałem tam przyjęty na semestr wstępny inżynierii cywilnej.

W szkole tej poza semestrem wstępnym, z przewidywanych do dyplomu sześciu semestrów, ukończyłem zaledwie trzy dalsze semestry. Od wyzwolenia tak w obozach D.P., jak w naszej szkolnej bursie na studiach przez jakieś dwa lata nieźle utrzymywała nas UNRA. Po sierpniu 1947 organizację tę rozwiązano, opiekę nad uchodźcami przejęło IRO, której głównym celem stało się rozładowanie problemu D.P. w Zachodnich Niemczech i najlepiej wysłanie wychodźców wschodnioeuropejskich ponownie do ich własnych krajów pod panowanie Sowietów. Zaczęto więc „przykręcać śrubę”. Ze względu na różne następujące potem szyskany – wyrzucenie nas z bursy czy akademika oraz ostro pogarszające się warunki utrzymania, a przede wszystkim brak pieniędzy na jedzenie, zmuszony byłem zrezygnować z czwartego semestru PWST w Esslingen i zacząłem się starać o wyjazd jednym z pierwszych transportów na emigrację do Kanady.

Po wylądowaniu w roku 1948 r., jako 20 letni imigrant bez znajomości języka angielskiego, który przyjechał na roczny kontrakt fabryczny w małej miejscinie w Kanadzie, o powrocie na studia nie było mowy. Nawet gdy po trzech latach przeniosłem się do większego Toronto, gdzie był duży campus uniwersytecki i

parę wyższych uczelni, też mi się nie udało powrócić na studia, ponieważ utrzymywałem się z własnych zarobków. Poza tym był to okres nasilenia tzw. "zimnej wojny" i zarówno wśród spotykanych rodzimych Kanadyjczyków, jak i w prasie, radiu oraz miejscowej telewizji, zaczęły się pojawiać zarzuty, że Polska to kraj komunistyczny, pomagający sowieckim szpiegom, etc. Po tym, co osobiście doświadczyłem w czasie i po II wojnie światowej, po okropnej zdradzie naszego kraju w Teheranie i Jałcie oraz oddaniu Polski przez Roselvelta i Churchila pod jarzmo Stalina, te komentarze wydały mi się skrajną obelgą. Nie chciałem już być inżynierem, lecz pisarzem i autorem książek, który by światowemu czytelnikowi przedstawił niesprawiedliwość jaką wyrządzono Polsce.

Okazało się jednak, że nie umiem pisać ani po angielsku, ani po polsku. Po kilku nieudanych próbach publikacji moich "stories" zdecydowałem się pójść na kilkutygodniowy kurs filmowy na Uniwersytecie York. Film wydawał mi się bardziej odpowiednim medium, za pomocą którego będę mógł przedstawić swoją wizję świata. Po ukończeniu tego kursu swoim ręcznym 16 mm. Boleksem, ze znacznym uszczerbkiem ciężko zarobionych funduszy, zrealizowałem mój pierwszy, ponad godzinny film w języku angielskim: "The Spirit of Poland". Okazał się jednak „kinematograficznie” słabym i dalekim od "hиту" i nie tylko widzowie, ale po pewnym czasie i ja nie chciałem go już oglądać.

Ale po pewnym czasie nabrał pan wprawy i teraz ma pan już na swoim koncie duży dorobek, a pana filmy ogląda się z wielkim zainteresowaniem. Otrzymał pan też wiele nagród (np. nagrodę na Międzynarodowym Festiwalu Filmów Animowanych ASIFA w Nowym Jorku w 1977 r. i grant z Ontario Arts Council), jest pan członkiem Toronto Movie Club, Międzynarodowej organizacji ASIFA i CO-OP filmowej itd.

Tak to prawda, choć o moim członkostwie w Toronto Movie Club, Międzynarodowej Organizacji ASIFA i CO-OP mogę powiedzieć w czasie przeszłym, gdyż obecnie nie płacę składek i oficjalnie członkiem już nie jestem. W roku 1975 otrzymałem jedyny grant z Ontario Arts Council na zrobienie filmu, a w roku 1977 nagrodę na Międzynarodowym Festiwalu Filmów Animowanych ASIFA w Nowym Yorku za Film "Mery Christmas". Potem jeszcze szereg mniej ważnych nagród za najlepsze filmy roku z Toronto Movie Club, z Canadian International Film Festival w Ottawie i Society of American Amateur Cinematographers, a ostatnio w roku 2004 nagrodę od Canadian National Film Board za najlepszy amatorski krótki film "Toronto Parks Rhapsody". Niemniej jednak z biegiem lat wysyłanie filmów na festiwale, uważam za marnowanie czasu.

Na czym polega praca niezależnego producenta filmów dokumentalnych?

Przede wszystkim na odnalezieniu odpowiedniej formuły czy tematu do filmu, który nie tylko pozwoli twórcy przekazać jego obserwacje i uczucia, ale też uczyni zapis na taśmie przemawiającym do przyszłych widzów i nabywców.



Michał D. Adamski.

Pana filmy dotyczą różnych obszarów tematycznych. Bardzo ważnym obszarem jest Polska historia, poszukiwanie śladów polskości w Kanadzie (a także w Wilnie na Litwie). Powstał też film o deportacji 1.5 miliona

Polaków z Polskich Kresów na Syberię w latach 1939-41, p.t. "Rescued from Death in Siberia". Odszukał pan naocznych świadków i zapisał na taśmie filmowej bezcenny materiał. Proszę opowiedzieć o tym filmie, jego zamyśle i zamierzeniu.

Film przedstawia osobiste przeżycia kilkunastu osób wywiezionych na Syberię i właściwie skazanych tam na powolną zagładę. Jednak kaprys losu sprawił, że zostali cudownie uratowani. Tym kaprysem był napad Niemców na Sowiecką Rosję w roku 1941 i w konsekwencji Pakt Sikorski - Majski. Co mnie skłoniło do realizacji tego filmu? W Toronto osiedliło się setki Polaków, cywili i byłych żołnierzy Polskiego Drugiego Korpusu gen. Andersa we Włoszech, którzy przeszli przez Sowiecką gehennę. Więc temat ten aż się prosił o podjęcie.

Proszę opowiedzieć o ludziach, do których pan dotarł podczas kręcenia filmów o śladach polskości za Oceanem.

Jednym z najciekawszych osób jakich udało mi się sfilmować był Stanisław Krzysztof Jasiński. Występuje on w moim filmie "Rescued from Death in Siberia" i w reportażu o nim "Od Imigranta do Milionera". Jako 17-letniemu młodzieńcowi udało się uciec z Syberii. Niedługo po tym, z domu w okolicach Krosna, został wywieziony do pracy niewolniczej w Niemczech. W roku 1947 wrócił do Polski, skończył studia inżynierskie, został

kierownikiem zespołu, który projektował pierwsze polskie koparki. Za swe przemysłowe dokonania został w Belwederze odznaczony przez Władysława Gomułę orderem Polski Ludowej. Ale potem sytuacja się odwróciła. Zagrożony aresztem za wyrażenie pewnych krytycznych opinii o partyjnych osobistościach, musiał uciec wraz z żoną na Zachód. Przyjechał bez grosza do Kanady. Ciężką pracą przez dwadzieścia lat dorobił się dużej fabryki produkującej specjalistyczne maszyny i został kilkakrotnym milionerem. Był też wielkim filantropem, przekazał na cele dobroczynne parę milionów dolarów. Umarł na raka w wieku 74 lat.

Drugi obszar pana filmowych działań, to filmy krajoznawcze pokazujące piękno Kanady, Polski, Europy, różne ciekawe obiekty historyczne i architektoniczne, mozaikę kulturową, a także bogactwo przyrody. Te filmy też mają bogate tło historyczne.

Historia zawsze mnie interesowała i filmując jakieś miasta czy kraje uważam za konieczne, aby nawiązać do przeszłości, pokazać jak dany obszar się rozwijał pod względem i gospodarczym i kulturowym, kto tam mieszkał i jak żył, w jakie historie polityczne był uwikłany itd. Tak samo odnoszę się do przyrody i jej praw.

Czy któryś z tych filmów jest pana ulubionym?

Lubię filmy, które poza pięknym wizualnym materiałem i udanym technicznym wykonaniem przemawiają jeszcze do widza swoją treścią. Z filmów w mojej realizacji uważam za najbardziej udane: "Warsaw, Past and Present", "For Your Freedom and Ours", "Rescued from Death in Siberia " i "The Betrayal of Poland".

Czy kręci Pan na raz kilka filmów na różne tematy, czy w danym momencie zajmuje się Pan tylko jednym?

Wolę koncentrować się na jednym temacie. Niemniej jednak nie zawsze mi się to udaje. Gdy nie mam wystarczającego materiału do filmu, nad którym w danym momencie pracuję, a tymczasem uzyskam płacone zamówienie na łatwiejsze do zrealizowania tak zwane "Events film", np. sfilmowanie jakiejś uroczystości, akademii, czy ważnego odczytu, odkładam nieraz pracę nad filmem, którego montaż i opracowanie zajmuje mi często miesiące, na późniejszy czas i przechodzę do pracy nad bardzo pilnym i z reguły łatwiejszym tematem.



Z Kamera przez Kanadę **Atlantyckie i Centralne Prowincje**

Zwiedzamy Kanadę od historycznej francuskiej fortecy Louisburg w Cape Breton, N.S. poprzez Wyspę Księcia Edwarda, Nową Brunawick, półwysep Gaspé, prowincje Quebec i Ontario aż do wodospadów Niagary i Toronto.

Filmujemy sławne turystyczne szlaki i mało znane piękne zakątki. Chodzimy po polach dawnych bitew i odkrywamy historię Kanady i jej pierwszych pionierów. Odwiedzamy stare forty i nowoczesne miasta Halifax, Saint John, Fredericton, Quebec, Montreal, Ottawa, Toronto i szereg mniejszych uroczych miejscowości jak Niagara on the Lake i Ontarijskie Kaszuby.

Kamera i Komentarz: Michał Adamski

Współpraca: Sabrina Adamska



MDA VIDEO PRODUCTIONS

TORONTO, ON, CANADA

Tel. 416-423-3726

Website: www.mdavideo.com

E-Mail: madamski@sympatico.ca

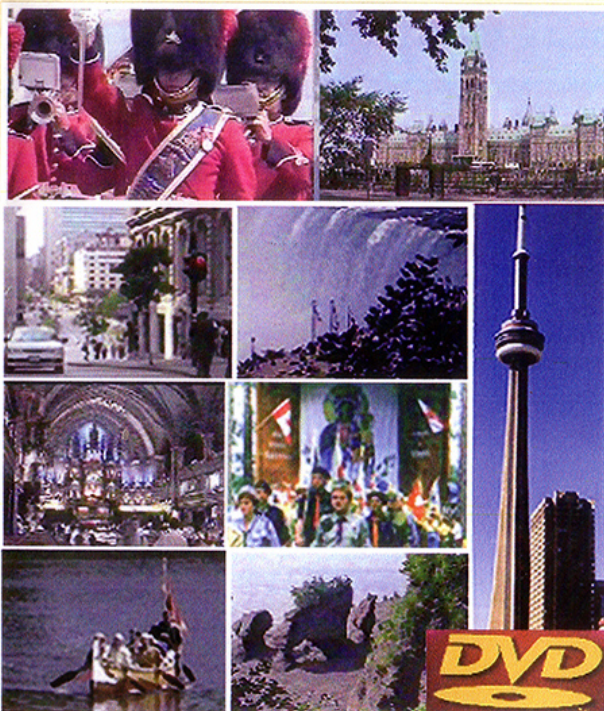


Z Kamera przez Kanadę I

105 min.

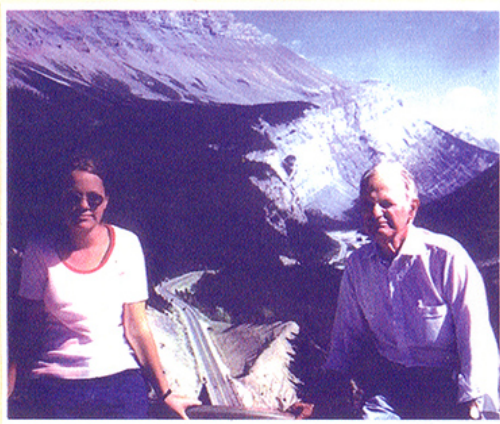
NTSC

MDA DVD Collection



Z Kamera przez Kanadę

Atlantyckie i Centralne Prowincje



Z Kamera przez Kanadę

Cześć II, Zachodnie Prowincje

Zwiedzamy zachodnie cztery prowincje Kanady. Od Fort Williams w pn. Ontario do Victorii w Brytyjskiej Columbi. Nowoczesne miasta jak Winnipeg, Regina, Calgary, Vancouver, Victorie; stare forty Northwest i Hudson Bay Co. i interesujące farmerskie osiedla. Przejazdamy przez prerie, majestatyczne Góry Skaliste i piękne narodowe parki, Banff, Lake Louise, Jasper i chodzimy po Athabasca glacier. Odkrywamy historie tych prowincji i ogromny wkład w ten kraj jej pierwszych pionierów, Indian, Metysów i imigrantów różnych narodowości. Zaglądamy do jedynego polskiego muzeum osadnictwa w Cooks Creek, olbrzymich ukraińskich świątyn i chińskich "chinatewns" z pięknymi ogrodami Dr. Sun Yat Sen. Razem 1 godz. 38 min. oryginalnych krajobrazów i ciekawych informacji o zachodniej Kanadzie.

*Kamera i Komentarz: Michał Adamski
Współpraca: Sabrina Adamska*



**MDA VIDEO PRODUCTIONS
TORONTO, ON, CANADA**

Tel. 416-423-3726

Website: www.mdavideo.com

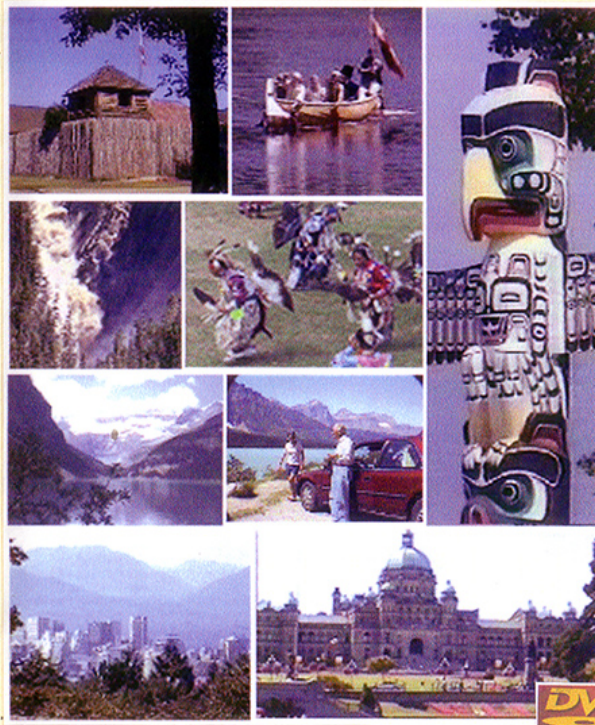
E-Mail: madamski@sympatico.ca

Copyright MDA Video Productions



Z Kamera przez Kanadę II

MDA DVD Collection



98 min.

NTSC

Z Kamera przez Kanadę

Cześć II, Zachodnie Prowincje

Filmy na jaki temat chciałby pan jeszcze nakręcić?

Mam na warsztacie kilka zaczętych tematów. Film o Dolnym Śląsku, Polskie Zamki, Polskie Pomorze. Również w planach film o Lwowie, skąd niedawno powróciłem z wizyty. Mam także w zamyśle ogólny krajoznawczy film o Polsce. Zebrałem też sporo materiału na film o Meksyku. Ale ze względu na zaawansowany już wiek i moje zdrowie, nie wiem czy wszystkie te projekty doprowadzę do końca.

Do kogo są skierowane pana filmy i gdzie je pan pokazuje?

Filmy w języku polskim kieruję do polskiego widza „at large”. Czasami w urawkach dostają się do telewizji. Okresowo pokazuję je także w salach SPK w Toronto, w London - Ontario, w Welland i innych polskich skupiskach. Ale największy oddźwięk wzbudzają moje filmy z narracją angielską wśród młodszeo, drugiego i trzeciego pokolenia pochodzenia polskiego, wychowanego już w USA, Angli, Kanadzie, Australii, Nowej Zelandii. Zamawiane na dyskach lub kasetach przez moją *website* takie filmy jak: “The Betrayal of Poland”, “Rescued from Death in Siberia”, “For Your Freedom and Ours”, w archiwalnym metrażu, prezentują fragmenty oryginalnych wypadków i naświetlają zawiłości polskiej burzliwej historii z XX wieku, mówiącemu już tylko po angielsku nowemu pokoleniu. Za te filmy na DVD dostaję przez e-mail dziesiątki pochlebnych uwag od ludzi polskiego pochodzenia z całego anglojęzycznego świata. A okazyjnie również z Południowej Afryki, Holandii, Estoni i Izraela. Czasami z Polski przez Internet dostaję również prośbę o jeden z moich filmów. Np. ks. proboszcz parafii z okolic Białegostoku napisał do mnie, że odkrycie w Internecie i obejrzenie mojego filmu o Wilnie było dla niego i jego parafian pochodzących z Wilna wielkim wydarzeniem. Przez parę lat bowiem szukał w Polsce bezowocnie podobnego filmu i nie mógł znaleźć. Zwrócił się też do mnie maturzysta z Konstancina pod Warszawą z prośbą o film na temat Polonii Kanadyjskiej.

Filmy o polskich dziejach XX wieku prezentuję także gratisowo

dla różnych uczelni, uniwersytetów i bibliotek. Natomiast Miejska Biblioteka w Toronto już od lat corocznie zakupuje ode mnie szereg moich dokumentalnych filmów dla swoich dwudziestu filii. Podobnie większość moich filmów nabywa już regularnie Instytut i Biblioteka Polska przy Uniwersytecie McGill w Montral.

Wywiad był przeprowadzony w 2006 r. Michał D. Adamski zmarł w 2015 r.

Filmy Michała D. Adamskiego w języku polskim:

Część 1. "Z Kamerą przez Kanadę". Część 1, Atlantyckie i Centralne Prowincje.

Część 2, Zachodnie Prowincje. Film piękno i dzieje Kanady od Atlantyku po Pacyfik.

„Za Naszą i Waszą Wolność” – 50 lat walki o Wolną Polskę. Lata 1939 – 1989 przedstawione w oryginalnym, archiwalnym metrażu.

„Napad Niemiecko – Sowiecki na Polskę” – wrzesień 1939.

„Józef Piłsudski i Druga Rzeczpospolita” – lata 1918 – 1939.

„Długi Marsz do Wolności” – dzieje AK i tragedia Powstania Warszawskiego.

„Strażnicy Polskiej Spuścizny” – film z kartek Polonii kanadyjskiej i amerykańskiej.

„Na Ontaryjskich Kaszubach” – reportaż z malowniczych Ontaryjskich Kaszub i organizacji Harcerstwa Polskiego w Kanadzie.

„Warszawa: Wczoraj i Dzisiaj”.

„Pomorze Gdańskie” – dzieje i piękno Gdańska i Pomorza.

„Zachodnie Pomorze i Wielkopolska” – podróż z kamerą od Świnoujścia po Poznań.

„Wilno, w poszukiwaniu polskiej spuścizny”

„Praga, Wiedeń i Budapeszt” – wideoreportaż z tych pięknych miast centralnej Europy poprzez wieki często połączonych z Polską wspólną historią.

„Archiwa Tajnej Policji w Polsce i Lustracja” – według Dr. Marka

Chodakiewicza.

„Fundacja Władysława Reymonta” – kto i kim jest w tej zasłużonej Fundacji Związku Polaków w Kanadzie.

„Wybaczyć nie Znaczy Zapomnieć” – krótki wideoreportaż z wizyty ks. Zdzisława Peszkowskiego w Toronto, Kanada.

Filmy z komentarzem w języku angielskim:

„For Your Freedom and Ours” – dokumentalny zapis 50-letniej walki o Wolną Polskę zakończonej paradą kombatanatów w Wolnej Polsce w roku 1992.

„Rescued from the Death in Siberia” – dokumentalny film oparty na przeżyciach szeregu osób deportowanych w latach 1939 – 1941 ze wschodnich kresów Polski na Syberię.

„The Betrayal of Poland” – Polska najwierniejszy sojusznik zdradzony przez swych zachodnich sprzymierzeńców w Teheranie i Jałcie.

„Katyn Remembered” – poświęcenie Pomnika Katyńskiego w roku 1980 w Toronto i do obecnej chwili niestrudzone domaganie się Polonii świata o oficjalne ujawnienie sprawców tej ohydnej zbrodni.

„Krakow and the Carpathian Fothhills” - wideoreportaż z historycznej stolicy Polski i odkrywanie pięknych zakątków południowej Polski włącznie z Wieliczką i Zakopanym.

„Warsaw, Past and Present” - sceny z niepokonanej stolicy Polski jaka była i obecnie jest. Zniszczona więcej jak Hiroszima i po upadku Powstania w roku 1944 rozkazem Hitlera skazana na wymazanie z map Europy i po wojnie ofiarna praca narodu ponownie odbydowana, obecnie znow zadziwia bogactwem historycznych zabytkow ktore jak mityczny Feniks powstały z popiołów.

“Cuba, In Search of the Sun”.

“The Taste of Italy “.